



Bez napisu. - Zar 362
zostanie tę okładkę

Brückner Aleksander.

Powieści ludowe.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

W drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

<http://rcin.org.pl>

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 239.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,
poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1900.— Tom VI.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1900.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Октября 1900 года

6879

POWIEŚCI LUDOWE.

(Szkice literackie i obyczajowe).

„Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosna, nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, iż ani Salomon we wszystkiej chwale swej nie był odziany, jako jedna z tych.“

Żadnym innem porównaniem nie określimy dokładniej, ani trafniej stosunku, zachodzącego między powieścią „ludową“ a artystyczną, jak właśnie tę, chociaż niewinna, jak lilie polne, powieść ludowa nigdy chyba nie była naiwną, a przytęm bywała zmysłową, okrutną, przebiegłą, a tak realistyczną, że szczegółów drastyczniejszych i Zola chyba-by nigdy nie wymyślił.

Powieść tę powtarzały i kobiety, lecz wytworzyli ją na wschodzie, jak i na zachodzie, tylko mężczyźni, którzy nigdzie nie sponiewierali bardziej kobiety, jak w powieści wschodniej. W każdym jej szczególe przebija despotyzm paszy haremowego i wschodnia nienawiść i pogarda kobiety, dziecka płochego a złego, które w strasznej grozie utrzymywać należy; występki męskie są Bogu miłsze, niż cno-

ty niewieście. Wszystkiemu złemu kobieta daje początek: żona zdradza męża, macocha prześladowuje pasierbicę, a zwodzi i kusi pasierba, a baba zawsze złośliwa czarownica. Przy całej ich złości jednak, jakież to słabe stworzenia: wystarczy pojawienie się obcego mężczyzny, aby matka zaraz czyhała na życie syna, żona porzucała męża, siostra wydawała brata; temat o zdradzie niewieściej niewyczerpany, o zdradzie męskiej ani nie tykany. I pojawia się dziwny dualizm: mężczyźni to niewiniątka, aniołki, święci—kobieta to szatan, lecz i szatan boi się kobiety. O prawach jej, o szacunku jakimś dla matki i żony wschodnia powieść ludowa ani wiedzieć nie chce; tylko na zachodzie często odnajdziemy kobiece typy szlachetne, wzniosłe, wzruszające. Próbowano nieraz umoralniać bajki, ażeby w nich, ku skażeniu umysłu dziecięcego, nie tryumfowali zawsze głupcy, Zagłoby itp.; przedewszystkiem należałoby jednak zmienić z gruntu ów typ niewieści, srogiego, zawziętego wroga albo korną owieczkę, liżącą rękę kata (bo tylko te krańce zna wschodnia powieść ludowa); należałoby przetrworzyć w człowieka, w towarzysza mężczyzny, nie jego tyrana lub pacholka. Sfałszowalibyśmy jednak i popsuli samą powieść, ów kwiat fantastyczny, o dziwnych barwach i szczególniejszej woni.

I jeszcze jedna jej nieprawda: wbrew przysłowiu: „nocna kukulka dzienną przekuka“, zwycięża w niej stale „cnota“ i męczyzna karze „zdradę niewieścią“—ale to tylko w powieści; tak mści się naiwny ludek i nad diabłem, wetując w bajkach wyprowadzaniem go w pole rzeczywiste tryumfy biesa na świecie.

Powieść artystyczna bywa więc i sprawiedliwszą, i prawdziwszą zarazem, nie tak stronniczo upartą. W przeciwstawieniu do niej cechuje dalej powieść ludową krótkość a raczej oschłość pewna; powieść ta nie zna opisów; w analizy psychiczne się nie bawi; wątków składowych, intrygi zawikłanej nie znosi. Brak jej więc różnaitości, finezyi, konsekwencyi; nie roztaacza ona nigdy rozleglejszych widnokręgów, pełza raczej po ziemi; wprawdzie zachowuje jako tako lada pozory prawdopodobieństwa, fantastycznego czy realnego, lecz za to miesza z największym spokojem do rzeczy codziennych cudowność nadprzyrodzoną, aby znowu do zwykłego trybu wracać. Szczegóły wykonania zawodzą więc nasze oczekiwania, lecz pomysł powieści

i wybrednemu czytelnikowi zaimponować potrafią: czy to, gdy tworzy uludy fantastyczne, odbijające jaskrawo od nędzy istotnej; owe niewyczerpane mieszki z pieniędzmi, drzewo, na które i śmierć, i dyabła na wieki wsadzić można, zwierzęta i istoty o cudownej sile wiedzy i piękności; czy to, gdy z największym realizmem przerabia odwieczne temata o ludzkich żądach i słabościach, nieszczęściach i przygodach, zbrodniach i cnotach, o nagłych przewrotach, spychających z tronów i wynoszących na nie; czy to wreszcie, gdy wyszydza i przedrzeźnia mądrość i ład tego świata, błaznowaniem głębszą pokrywając prawdę. Co się moralności tyczy, to wszelką odpowiedzialność za czyny zsuwa chętnie na ślepy traf losu, sprzyjający stale niezasłużonym, ale szczęśliwym, bo „lepszy łut szczęścia niżli funt rozumu;“ na przeznaczenie nieubłagane, bo „co ma wisieć, nie utonie“: Edyp, Judasz, Grzegorz święty, pojma własne matki, Henryk zostanie cesarzem a Pelagiusz papieżem, choćby ich już w niemowlęctwie do wody lub zwierzętom porzucono, aby spełnienie wyroczni uchylić.

Podobnie jak autorowie tych powieści są nieznani—tworzy je właśnie lud cały, jak wszelką prawdziwą epikę—tak występują i bohaterowie ich stale albo w początkach swych bez nazwy, miejsca, czasu, albo też zrzucają, w ciągu wędrówki przez wieki i narody, wszystko, co by pochodzenie ich zdradzać mogło. Wędrówki te, to znowu w powieści ludowej rys nadzwyczaj znamieny. Nam się wydaje, że dopiero w nowszych czasach powstała literatura wszechświatowa, że to od niedawna dopiero drukują Sienkiewicza i Tolstoja w Europie i w Ameryce równocześnie, a Zolę i Kiplinga w Indiach i Paryżu czytają.

Tymczasem, jak Wieki Srednie wyrobiły jednolitą naukę o tych samych poglądach, metodach i języku, tak powieść ludowa była już wtedy i dawniej międzynarodową w najściślejszym znaczeniu słowa i nie było jeszcze żadnej prasy drukarskiej ani wózka pocztowego na świecie, gdy już Kasia na prządkach opowiadała, co niegdyś Herodot z ust kapłanów egipskich zapisał, i tą samą bajką usypiała piastunka, w Sycylii czy na Kujawach, w Szkocyi czy na Śląsku, swego pieszczocha.

Fakt stałego powtarzania się całkowitych wątków powieści i bajek po całym świecie wywołał znaczne nieporozumienie; przyczynę tego dziwnego zjawiska upatrywano bądź to w naturze ludzkiej, wszędzie i zawsze jednej, a więc i w tworcach wyobraźni się powtarzającej, bądź to w zapożyczaniu i w powtarzaniu bajki i powieści ludowej, wędrującej za słońcem, od Wschodu na Zachód, od Indyi do Ameryki. Lecz jednolitość fantazyi nie wytłumaczy, dla czego nie tylko same motywa, ale, wbrew regule prawdopodobieństwa, i same

ich kombinacye, i każdy najdrobniejszy szczegół się powtarzają, tak, że samej powieści lub bajki nieraz ani poznać, czy ona pod biegunami czy pod równikiem, dziś czy przed wiekami, powstała. Również nie zadawała druga hýpoteza, szukająca kolebki każdej niemal bajki i powieści w Indyi, przypisująca rozszerzenie się baśni po świecie wyprawom Macedończyka, pochodom krzyżowym lub pośrednictwem cyganów; lecz żelazny inwentarz bajek—jak o tęg tradycyę egipskie i mitologia grecka przekonywają—jest starszy, niż jakiegokolwiek styki z Indyą, niż sam buddyzm, a cóż dopiero cygani; to, co Kasia o kowalu albo o zaklętej królownie opowiada, opowiadał już Homer o swych bogach i półbogach.

Nie wierzymy więc ani w samorzutne, niezawisłe powstawanie wątków powieściowych u ludów najrozmaitszych, ani też w wyłączną indyjskość czy nawet specjalny buddyzm naszych bajek; węzeł gordyjski tylko Aleksandrom jednym zamachem rozcinać się godzi; my bądźmy skromniejsi i cierpliwi. Decyzyę, co do zawilego a większego pytania ułatwi nam rozbiór pytania mniejszego; jak powstają i szerzą się bajki i tradycyę, zrozumiemy, badając, jak powstają i szerzą się „powieści ludowe“, stojące z bajką w związku nierozzerwalnym. Z bajek i tradycyi wyłączamy bowiem te powieści, nie dla ich treści lub formy spływającej z bajkami nieraz całkowicie, lecz dla kryterjów innych, zewnętrznych, z powodu ich należenia np. do większej całości, z przyczyny pochodzenia ze źródła literackiego (choć samo źródło literackie znowu z tradycyi ludowej czerpało), z powodu szerzenia się drogą książkową, z przyczyny mniejszej ich różnorodności i odrębności.

O właściwym znaczeniu i pochodzeniu bajek (i powieści ludowych), krążą dotąd najdziwaczniejsze domysły. Umiejętność—romantyka braci Grimów, i dzisiejszych ich adeptów,—uważała w każdej tradycyi ludowej, w jej wątku i w jej bohaterach, dawne oryginalne mity i wierzenia narodowe, tłómaczyła każdą bajkę, nawet zwierzęcą, mitycznie: lis np. był dla niej symbolem zimy czy zmierzchu, ferry-morficznym, jak antropomorficznym symbolem była Jędza; smok wielogłowy, to obłok, co porwał, zakrył królowę-słońce, ale żołnierz-piorun roztrzaskał obłok i wywiódł słońce; woda ożywiająca i przywracająca wzrok, to deszcz, orzeźwiający przyrodę, niesiony przez kruki-wiatry itd. Dzisiaj trudno uwierzyć, że poważna umiejętność naszego wieku w taką ciuciubabkę na serwo się bawiła, lecz dziwolągów tych w umiejętności naszej ani wykreślić, ani zaprzeczyć nie możemy; wartość zaś tego mityczno-symbolicznego wykładu jest taka sama, jak owego etyczno-symbolicznego komentarza, obiegającego

w Wiekach Średnich, kiedy to kaznodzieja te same bajki o lisie lub smoku walką naszą z grzechem i ciałem, krzyżem, czartem tłómaczył: przystrojono tylko stary błąd w nowe szaty, bardziej ludzące.

Wedle najnowszego tłómaczenia bajek i powieści, t. j. zw. etnograficznego, mają być wreszcie bajki fantastycznym odbiciem prawdy i w e g o niegdyś stanu rzeczy czy myśli: bajka o Psysze powstała, gdy już zapomniano, że to niegdyś wszyscy nowozaślubieni za dnia unikać się musieli i tylko nocą się widywali; bajka o Meluzynie, gdy w związki istot nadziemskich z ziemskimi silnie wierzą i tylko trwałości im nie przypisywano; w roli nawet, jaką zwierzęta stale w bajce odgrywają, upatrzono wpływy indyjskiej wiary istotnej. Lecz tłómaczenie etnograficzne, raczej akcesoryja bajki, niż bajkę samą, objaśnia i kwestyi oryginalności, czy wędrówki bajek właściwie nie dotyka. Że fantazyja, nawet tworząc bajki, rysami obyczajowymi, materialem z obserwacji zaczerpniętym posługiwać się może, nie przeczyamy; lecz zbytne odszukiwanie tych niegdyś za czasów dzikości i barbarzyństwa, faktycznych, a potem w przeżytkach dochowywanych i nierozumianych rysów prowadzi z wszelką pewnością na te same manowce, po których w bajkach o wężu i o zaklętej królewnie, albo w anegdotach o Sowizdrzale, śladów i ułamków eposu mitycznego, walki światła i nocy, słońca i burzy, resztek kultu kamieni, roślin i zwierząt i tym podobnych arcyciekawych, lecz niemożliwych rzeczy na gwałt się doszukiwano.

Już samą ową oświeceniem jednostronnym stanowiska kobiecego ujawnia powieść ludowa obyczajną, i nie powtórzymy już dziś za naszym romantykiem:

O wieści gminna... w tobie lud składa...

S w y c h myśli przedę i s w y c h uczuć kwiaty...

Gdyż główny zrąb „wieści gminnej“ bywa pochodzenia obcego, a rodzimą jest nieraz tylko jej szata zewnętrzna, językowa, niektóre szczegóły i wiązania motywów.

Protestując przeciw romantycznemu hasłu o niepokalanej rodności tradycyi ludowej, uchylamy za to kornie czoło przed jej sędziwością: niema żadnego rodu na świecie, ani królewskiego nawet, któryby genealogię swoją mógł tak daleko wstecz dokumentami autentycznymi poświadczać, jak byle jaka powieść lub bajka, a z dawnością wiekową licuje najlepiej ogrom obszaru, jaki one zwykle zajmują.

Wykreślamy starannie drogi handlowe prastare; wykopaliska monet rzymskich czy kufickich, to niby wiechy, wytykające zawiane wiekami stacye pierwotne; mniej troszczymy się o drogi, które mi kroczył najpopłatniejszy handel wymiany, handel bajkami i powieściami, a szlaki te i ciekawsze są, i znamiennejsze;—monety zakopywał przecież i zbój, i złodziej, nietylko prawy ich właściciel; bajka zaś to towar zawsze legalny.

Towar ulegał jednak po różnych miejscach i czasach odmianom w nazwiskach i szczegółach, nie zawsze też dopisywała pamięć; luźny związek całości dopuszczał mechaniczne przenoszenie wątków z miejsca na miejsce, rozszerzanie, rozpychanie bajki. Ale towar sam ocalał, chociaż po drodze ponabierał najrozmaitszych stempli. Nic ciekawszego, jak śledzić w zapisanych dzisiaj z ust ludu naszego podaniach i powieściach stopy wschodnie, greckie, rzymskie.

Oto przykład. Opowiada sobie lud o królu Łokietku, jak on wymierzał wysokość nieba i głębokość morza: siadł na orła i nad głową trzymał mu kawałek mięsa, że się orzeł coraz wyżej wznosił itd. Czy to wymysł ludowy? Bynajmniej. Z drukowanej historii polskiej o Aleksandrze Macedończyku dowiedział się nasz ludek o tej próbie, króla Łokietka przyplątał tak sobie, bo o Łokietku nieraz opowiadał, a nieznanego gryfa orłem sobie zastąpił.

Jest to szczegół bardzo ważny, przez naszych historyków z wielką dla ich badań szkodą zupełnie zapożyczany: nazwisko historyczne, czy topograficzne bajki w tradycję bynajmniej jeszcze nie zamienia. W bajkę o niewiernej żonie wpleciono u nas w trzynastym, czy czternastym wieku nazwy Tyńca i Wisława; otóż historycy nasi kusili się o odtworzenie jakichś zamierzchłych dziejów, nie pomni, że Tyniec i Wisław dostali się do owej bajki, jak Łokietek do podania o Macedończyku, że więc nazwy te niczego, żadnej tradycyi nie dowodzą. Do najzwyczajszej bajki o smoku powtykał mistrz Wincenty nazwy Kraka itd. i uwiódł kompletnie badaczy, upatrujących w tej pustej bajce mit czy historyczną tradycję. Można nawet zapytać, czy i rzekome tradycye historyczne o Piaście i Popielu, o Przemyśle i Libuszy, nie są raczej zwykłymi, pustymi bajkami, w któ-

re nazwy tradycyi czy pseudotradycyi później powplatano, czy raczej nie należy ich traktować, jak owego „podania“ Łokietkowego, i z tradycyi historycznej całkiem wyłączyć? Bajka zupełnie dowolnym przybieraniem nazw osób i miejscowości przedzierzga się więc w (pozorną) tradycyę: z faktem tym, bardzo dla historyka smutnym, bo usuwającym tradycyę, musimy stale się liczyć; inne przykłady przytoczymy niżej.

Lecz nie tylko wątek powieściowy, nawet każdy szczegół jego, zwrot, przysłowie, zagadka itd., nabierają w ustach ludu samostnego życia i nie poznać po nich, że wyszły z głębokiej Azji lub południowej Francji. Zapisują np. etnografowie nasi przysłowie ludowe: „kto się miesza w plewy, tego świnie zjedzą“, ani nie domyślając się, że to dosłowne tłumaczenie z łacińskiego Marcholta i przez polską książeczkę do ludu dotarło; inne przysłowia z greckiego Ezopa przywędrowały. Dawny autor przytacza na początku szesnastego wieku „przymowę pospólnego ludu“ (tj. przysłowie pospolite): „prawda przebija głowę“—ależ i to przysłowie łacińskie (prawdę mówiącemu głowę rozbijają), dodane do dziejów bożka-posągu, któremu głowę rozbito, aby prawdy nie powiedział. Jedna z najpiękniejszych zagadek ludu naszego (o rybach i wodzie —izbie, która oknem z sieci wycieka) poszła z romansu storogreckiego itd.

Zasila się więc „wieść gminna“, tradycya ludowa, wbrew fantazjom romantycznym, głównie ze źródeł obcych, stroi się w cudze piórka, praw autorskich nie zna żadnych, zabiera co się nawinie i spodoba bez wszelkiego wstydu; na kulturę ludową składają się więc tak samo żywioły obce, przywożne, jak na kulturę warstw wyższych. Jednym z głównych jej źródeł są właśnie powieści „ludowe“, wprawdzie nie przeznaczone pierwotnie tylko dla „ludu“, lecz z biegiem czasu w nim osiadające; powieści, dziś „ludowemi“ zwane, bo je już tylko lud czyta i opowiada, chociaż je pierwotnie warstwy oświecone przyjmowały. Powtarza się więc i tutaj zjawisko dobrze skąd inąd znane: co niegdyś rycerstwu, a głównie księżom i żakom służyło, opada z podnoszeniem się kultury na samo dno; facecye i zagadki, np., którymi się delectował oświecony szlachcic siedemnastego wieku, powtarza dziś tylko lud lub dziatwa.

„Powieści ludowe“ w tem ściślejszym znaczeniu są najrozmaitszej treści, powagi i pochodzenia. Jedne sięgają zamierzchłych początków ludzkości, drugie złożyły się ostatecznie w r. 1400 czy 1483; jedne z Indji wyszły, drugie we Francji wyrosły; jedne skupiają się około bohatera, rzeczywistego i wymyślonego, towarzysząc mu od kolebki do grobu; inne wtłoczone w jakąś ramkę sztuczną lub chodzą całkiem luznie; jedne fantastyczne, drugie śmieszne; jedne przedrzeź-

niające świat i jego mądrość i ład, drugie moralizują na temat prawd odwiecznych. Cechą ich wspólną jest zawsze to, że autor ich nigdy nieznan: wyszły one rzeczywiście z łona ludu, a pierwszy autor nadał im tylko formę literacką, redagował je niby, jak tak zwany „Homer“ Iliadę lub Odyseję, a „Ezop“ bajki zwierzęce; puszczone w obieg zdobywały potem świat cały.

Zwrócić uwagę na zapomniane, zaniedbane powieści ludowe, istniejące dziś tylko między ludem, w postaci nieraz bardzo zeszpeconej lub urywkowej, jest celem naszego szkicu. Nie należy bowiem zapominać, że z tych wzgardzonych powiastek urósł nasz romans dzisiejszy, że powiastki te olbrzymią rolę odegrały, zapładniając fantazję malarzy i autorów, że siła ich żywotna niewyczerpana, że przetrwały one i przetrwają niejedno dzieło klasyczne; że naśladować ich, a cóż dopiero zastąpić, i najlepszy artysta nie zdoła; że obca im tendencja, pouczanie, czy satyra, w którą indywidualnie tworzący artysta niechybnie je upstrzy. Jeżeli cenimy i zbieramy np. zbroje rycerskie, odszukujemy po kościołach stare obrazy, rzeźby lub stalle, zachwycamy się grobowcem dawnym, nie zapominajmyż, że z powieściami ludowymi stawamy na gruncie średniowiecznym, nie poszlakowanym o żadne przeróbki czy fałszerstwa, prawdziwym, oryginalnym. Nie dziw więc, że np. romantycy niemieccy zachwycali się temi powieściami, że je wskrzeszali z zapomnienia zupełnego, a niezasłużonego, w jakim je wiek oświecony pograżył, że je dramatyzowali (np. Fortunata lub Gryzeldę, taki Tieck i Halm), że je malował Schmid (Meluzynę), lecz na wieki przed nimi czerpali z powieści ludowej Bocaccio, Chancer, Szekspir, wprost czy z jej przeróbek, a po nich i niejedno dzisiejszy nowelista odwieczny temat na nowy ład opowiada i niejedno fait divers dzisiejszego dziennika za prastarą anegdotą ludową reporter powtarza. Rozchodziły się też powieści ludowe po wynalazku druku w niezliczonych wydaniach: takiego Sowizdrzała np. w ciągu lat 25 wydano w Niemczech samych z piętnaście razy (1515—1540), a na każdym jarmarku sprzedawano je setkami. Praw autorskich nikt sobie nie rościł, przedrukowywano baśni najdowolniej, zmieniając z czasem nazwiska, opuszczając zbyt drażliwe szczegóły, skracając nieco, odnawiając zwroty przestarzałe, opuszczając, czego już nie rozumiano, lecz zwykle pozostawiano dawny tekst nietkniętym. Drukarz warszawski, chełmiński, wadowicki powtarza dziś jeszcze tekst, ustalony niegdyś, np. w roku 1628; tak żywotną okazuje siłę ta tradycja. Mimo tej nadzwyczajnej ilości wydań i egzemplarzy wychodzą powieści ludowe nader rychło z obiegu; trzeba je coraz odnawiać; książeczki zawieruszają się ciągle. Nie miały one przecież dostępu do ksiąźnicy pańskiej i klasztornej, lub

rychło go utraciły; kursowały między ludkiem miejskim i wiejskim i ginęły, zatłuszczone i zniszczone do niepoznania w grubych tych rękach. Stąd nadzwyczajna rzadkość wydań np. XVI wieku; u nas przynajmniej wyginęły one do szczytu, tak, że z bogatej ich liczby ledwie kilka egzemplarzyków ocalało, że musimy się ratować coraz późniejszymi, coraz gorszymi, niby to „poprawniejszymi, polerowniejszymi“ ich wydaniem; że np. jedna z najzasobniejszych w dawne rzeczy polskie bibliotek krajowych ze stu lub kilkudziesięciu dawnych wydań (XVI- i XVII-ego wieku), nie posiadała-by ani jednego egzemplarza, gdyby nie kucharz, czy lokaj, który ordynatowi jeden egzemplarz zaofiarował; inne jeszcze większe biblioteki nasze nie posiadają nawet i tego.

Lecz nie rzadkość stanowi ich cenę, polegającą głównie na tym, że przez całe wieki dla warstw najliczniejszych zastępowały wszelką belletrystykę, a raczej wszelki pokarm umysłowy, na co daremnie sarkali autorowie rzeczy poważnych, tj. nabożnych. Jak głęboko wpływ ten sięgał, poucza fakt, że główna osoba romansu francuskiego (Meluzyna), przeszła z powieści do samych wierzeń ludowych, że dziś jeszcze ofiaruje chłopiek czeski chleb i sól, stawiając je na oknie lub na kole od płota, dla Meluzyny, wzdychającej z wiatrem za dziatkami, aby mu gradem zboża nie stłukła; że ta sama Meluzyna francuska najpowszejnniejszej postaci mitologii lużyckiej barw i kształtów użyczyła; że się w herbie Warszawy powtarza, że nawet na Czarnym Morzu i na rzekach stepowych rusałka-Meluzyna się uwija, syrena, nie tylko kształtem, jak francuska i warszawska, lecz od rusałek ukraińskich i mocy czarownego śpiewu nabywająca. Tu więc nie samo nazwisko tylko—jak w bogumilskiej Mamunie i zabobonach, do dziś u Polaków istniejących, a z Bałkanu przybyłych—do tradycji się przedostało: co za rozczarowanie dla naszych mitologów!

W dawnych czasach wzmianki o powieściach takich, o ich szerezeniu między piśmiennym i niepiśmiennym ludem, są częste, w literaturze niemieckiej np. i czeskiej. Nie powtarzamy ich tutaj; w polskiej należą wzmianki o Marcholcie, Sowizdrzale, Twardowskim, również do pospolitych; zapiszmyż choć, że wojewoda Niesiołowski, wydając w r. 1745 najlichsze wiersze, upewnia, iż one czytelnikom krotoczwili przydadzą „po Magiellonie, Baneluce“; lub ksiądz Kaz. Auspurger, pisząc „Historję o jednastu tysiącach dziewic“ (r. 1674) podkreśla prawdziwość owej historii, podczas gdy nawet:

Fortunat z Meluzyną, fabuły zmyślane,
Mając dla próżnujących koncepta pieszczone,

u łatwowiernych wiarę wywołują. Albo autor satyry z czasów saskich (Malpa-człowiek) zapewnia, że nie nauczył się miłować z Magiellony, Banaluki, Argenidy i którejkolwiek innej miłosnej książeczki ¹⁾. W walce homerycznej, opisanej w „Organach,” wymienia Węgierski między pociskami, wybranymi z księgarni Jana, „romans miły Fortunata”, Banialukę, Magielonę i nazywa je w przypiskach „romansem nudnym, którego kartki bez ziewania czytać nie można,” „historija pozbawiona sensu, ledwie już podsejdków jest zabawa”. Tak się zmieniły gusta i czasy. Nie przeszkadzało to, że dla pewnej publiczności niemal co rok te bajki odbijano, że czytelników nigdy im nie brakło.

Oprócz tego rozpowszechnienia, nie ustającego i po dziś dzień, imponuje nam słusznie sam fakt, że owe wzgardzone książeczki stanowią najznacniejszy wkład literatury polskiej do ruskiej; delektował się Moskwa przez cały XVII wiek, a nawet i później, temi „fabułami”; przekładano tam z polskiego i przepisywano w zawody „Meluzynę”, „Magielonę”, „Historyje rzymskie”, „Poncyana”, „Facecye”, itd., i nawet w bibliotece takiego Golicyna, faworyta Zofii, znajdujemy „Ottona”, a rękopisy ruskie XVII wieku zastępują nam nieraz zniszczone oryginały polskie; tak dla polskiej „Meluzyny”, „Magielony” lub „Historij rzymskich,” posiadamy najdawniejsze i najlepsze wydania polskie właśnie w owych tłumaczeniach ruskich. Odegrały zatem owe książeczki znamienną rolę w rozwoju kultury, wprowadzając wpływy zachodnie do życia umysłowego ruskiego. Tak więc i wewnętrzna ich wartość, i dzieje ich zewnętrzne, i niesłychana ich rzadkość składają się na to, abyśmy zarzucili jednostronne, niesprawiedliwe stanowisko wieku „oświeconego”, który u nas przez usta Śniadeckiego te „duby smalone”, te brednie ciemnego tłumu potępiał.

Szerzyły się powieści te między ludem ustnie i na piśmie; książdz na kazaniu, żak w „rzędzie” (biesiedzie karczemnej), powtarzali, co w skryptach łacińskich z baśni tych wyczytali; drukarz potem, Ungler i Wieter, o przekłady się starał, aby coś „krotofilnego” ludziom mało piśmiennym, szczególnież niewiastom, do rąk podać. Otóż przy-

1) Satyr pijara Piotrowskiego (z r. 1773), oskarża nowomodnych jurystów, że na całą ich bibliotekę składa się Meluzyna i Sennik, kalendarz z herbarzem.

klady tych dziś wzgardzonych i zapomnianych książeczek, czy powiastek ludowych, wywołały w dziejach piśmiennictwa narodowego całkowity przełom.

W Wiekach Średnich bowiem przekładano z obcych języków niemal dosłownie, nie troszcząc się wiele o sens, i wynik tych tłumaczeń był taki, że oryginał łaciński czy niemiecki jest dla nas o wiele zrozumialszy, niż owa mniemana polszczyzna; haniebną tę metodę stosowano jeszcze i w początkach szesnastego wieku. W owych książeczkach i powiastkach dopiero wysilił się tłumacz, taki bakalarz Jan z Koszyczek np., na oddanie trafne nie słów, lecz sensu i myśli, i jego tłumaczenie Marcholta jest pierwszym tryumfem jędrnej prozy polskiej i polskiej sztuki tłumaczenia i raz na zawsze między wzorowe przekłady policzonem być musi: jego Marcholt, Poncyan i inne—to świetna proza polska, wyprzedzająca o dziesiątki lat i Orzechowskiego, i Reja. Otóż nowy tytuł powieści ludowej do zasługi i chwały, przynajmniej w literaturze naszej.

Przypominając te książeczki uwadze oświeconego ogółu naszego, żywimy nawet nadzieję, że miłośnicy dawnych rzeczy ojczystych, znawcy i zbieracze, zainteresują się nimi i wydobędą może z ukrycia, z pyłu i pleśni wiekowej, same ich egzemplarze lub choćby wzmianki o nich.

Lecz w jakim porządku mam je łaskawemu czytelnikowi przedstawić? Pewnie nie w alfabetycznym, tem mniej w chronologicznym, któryby rzeczy razem należące rozrywał. Ugrupujmy je wedle treści, a zaczniemy nie od najpoważniejszych mchem wiekowym, formą i rozpowszechnieniem po całym świecie, lecz od tych, które i w pamięci ludowej, i w dawnym piśmiennictwie narodowym, najgłębszą bródzę wyrwały.

Jest para facecjonistów rubasznych, nieprzywoitych, szczególnie ten Sowizdrzał, co bierze u nas:

najwyższe miejsce za stołem.

Z wieku mu i z urzędu ten zaszyt należy.

My dziś o „Sowizdrzale“ — prócz nazwy, którą wszyscy rozumiemy — już nie wiele wiemy, chociaż lud sztuczki jego jeszcze sobie powtarza, np. w zbiorze p. Ciszewskiego „Krakowiacy“ (1894 r.), pięć anegdot o nim z jednej wsi (Smardzowice) zapisano.

„Sowizdrzał“ i „Faust,“ to jedyne typy niemieckie w belletrystyce ludowej całego świata, coś niby Sanso Pansa i Don Kiszot, Falstaff i Hamlet; lwia część popularności przypadła naturalnie bliźnowi. Popularność to bezprzykładna; znamy dziś jeszcze stokilkanaście wydań żartów jego, a ileż-to zaginęło bez śladu — między niemi i sam oryginał, napisany plattem (plattdeutsch), a przetłómaczony na „hochdeutsch“ około r. 1500, przez sławnego Tomasza Murnera, niegdyś mistrza krakowskiego, franciszkanina strasburskiego, poetę i teologa, który kartami i szachami uczył logiki, praw i metryki, duchowieństwo i Lutra zwalczał, a Wergiliusza tłómaczył. Dopiero od tłómaczenia Murnerowego, wydanego w Strasburgu w r. 1515, powędrował „Sowizdrzał“ po świecie tak, że nazwisko jego typowem dla wszelkiego szalbierstwa się stało; u Francuzów do dziś *espiègle*, *espièglerie*, z *Eulenspiegel* powstałe, toż oznacza; u ludu krakowskiego Sowizdrzala „wichrzycielem, awanturnikiem“ tłómaczą.

„Till Eulenspiegel“ — Ludek Sowizdrzał, gdybyśmy całe imię po polsku wyrażali, jedyny bohater w literaturze świata, Niższe Niemce reprezentujący, bo drugi, Onkel Brasig Reutera, do tej miary popularności, poza obrębem Niemiec i klas wykształconych, nigdy nie dorosnie. Bohater ten, niby mściciel wszystkich wydziedziczonych i pokrzywdzonych, pospolicie nadrabia psotami i figlami tak nieestetycznemi i sprośnemi, humor jego niemiecki tak ciężki, ironia tak dotkliwa, że słusznie dziwimy się niewybrednemu smakowi Europy zachodniej i środkowej, lubującej się w jego fantazjach i dowcipach. Tylko między Włochami *Eulenspiegel* się nie przyjął, mieli tam oni swoich: *Arletta*, *Gonellę*, *Bartolda* i nie czuli potrzeby odmiany na gorsze. U nas za to rozgospodarował się Sowizdrzał w najlepsze, lepiej niż w Niemczech samych, chociaż naszemu charakterowi narodowemu wcale nie odpowiada, podczas gdy w Niemczech północnych *Eulenspieglów* pełno: z okien mieszkania obserwują nieraz ładnego chłopczyka-sierotę; psoty tego malca siedmioletniego całkiem są w stylu *Eulenspiegla*, więc i opowiadać ich nie można.

Któż to ten *Till Eulenspiegel*, *Dyla Sowizdrzał*? czy to osobistość historyczna? Niby tak; posiadamy przecież dotąd nagróbek je-

go „autentyczny“ w Mölln, skoro wszelkie inne miasta zaprotestowały przeciw wątpliwemu zaszczytowi przechowywania zwłok jego — odwrotnie, niż z Homerem, o którego kolebkę siedem miast za lby chodziło. Umarł on r. 1350 i pochowany w mieście Mölln, koło Lubeki, a urodził się (u Sowizdrzała odwracamy daty, chcąc się w jego „tonie“ utrzymać) we wsi Kneitlingen, Knetowicach, w Brunświckiem; baki zbijał, niby rzemieślnik wędrowny, niby kuglarz, niby błazen, po całych północnych Niemczech, głównie Brunświku, Hannoveru, Lubeki i pobliskich miejscowości się dzierżąc; znamy i ojca jego, Klause (tj. Mikołaja), Kulasa, i matkę Hanke, która go niby przeżyła, i ojca chrzestnego, Tyloka Lachowicza. Metryka była-by więc w zupełnym porządku, akt zgonu posiadamy niemal notaryalny, a mimo to, przeciw wszystkim badaczom, nie wierzę ani na chwilę w historyczność osoby i w pewnych tych datach widzę tylko nowe Sowizdrzalstwo.

Historycznym jest nazwisko; były rzeczywiście osoby, noszące je; występuje nawet w aktach radzieckich brunświckich „die Eulenspiegelsche“, uboga wdowa po jakimś tam Eulenspieglu; ale na tym już koniec. Na dowód rzekomej historyczności Eulenspiegla przytaczano nawet jego debiut krakowski u króla Kazimierza — tak plugawy niestety, że go ani w grubej obsłonce wystawić nie możemy — bo mniemano, że mowa o Piastowiczu; tymczasem autor widocznie Jagiellończyka miał na myśli i dopuścił się, niejednego zresztą, anachronizmu.

Dowód niehistoryczności, fantastyczności Eulenspiegla widzimy już w tem, że zwala na niego autor pierwotne figle, których on nigdy nie popełniał, bo sposobów na to nie miał, np. jakoby w Bremie kumoszkom, z mlekiem na targ przybyłym, kazał był zlewać mleko do kadzi, potem z zapłatą zwlekał, a niechącym czekać mleko napowrót odbierać kazał: kumoszki rzuciły się z garnkami do kadzi, garnki potłukły, mleko rozlały, poczubily się strasznie, a Sowizdrzałek, uśmiewszy się do zdechu, szczęśliwie umknął. Otóż wiemy z historii, kto takiego figla rzeczywiście spletał: możny pan, książę szałski, Bolesław Drugi (Ziębicki-Munsterberski, zmarły r. 1342), we Wrocławiu tę szopkę urządził, on, który szkodę wynagrodzić mógł, dozorców targowych obawiać się nie potrzebował, a figle podobne paszjami lubił. I o innych figlach wiemy, że one nie z Sowizdrzalskiej kuźni, np. jeżeli on na ratuszu w oknie kiwa, a posłuszna (wedle poprzedniej umowy) straganiarka wszystkie garnki tłucze — tak to on paniętom swej sztuki czarnoksięskiej dowodzi, — ale gdzie-by stać było owego plugawego chłopiska na potrzebne do tego grosze i na komitywę pańską? I tę sztuczkę policzył-by na konto szałskiego Bolesława. Górnicki

1566 opowiada ją o mniemanym uczniu Twardowskiego, wyludzającym grosze od dworzanina w Krakowie na zamku, co króla ubawiło. Inne anegdoty Sowizdrzalskie pochodzą z Włoch, od słynnego Gonelli, błazna książąt z Esty i Ferary, w wieku piętnastym, który i naszego Stańczyka w dowcipy zaopatrywał, bo że najczęściej na świecie lekarzy, tego Gonella, nie Stańczyk, pierwszy dowiódł²⁾. Obok Gonelli zaopatrywali „Sowizdrzała“ w figle: poeta francuski Villon i facecyjonista, Bebel, „Książd Amis“ i „Książd z Kalebergu“ (od którego nazwa „Kalamburu“ się rozeszła), dobrze znane typy jowialnych księży średniowiecznych. Nie wątpimy więc, że krążyły po Niemczech północnych w wieku XIV i XV różne anegdoty rzemieślnicze, chłopskie, panięce, księże, własne i obce; że przypadkowo, czy dowolnie, skupiano je około imienia Eulenspiegla, komicznego samo przez się, że do typowego odtąd imienia dorobiono później metrykę, stworzono osobistość, że należy ona do tej galerji historycznej, w której Homer i Ezop, Ilja z Muromca i Don Kiszot, Falstaff i Zagłoba się mieszczą; najlepiej przypomina on nam dawniejszego poetę-satyryka, Goliaza, istniejącego również tylko w literaturze.

Jakiegoż rodzaju są figle Sowizdrzałowe? Jest ich dziewięćdziesiąt kilka w wydaniach najdawniejszych, a nieco więcej w wydaniach erfurckich (od r. 1532), z których i polskie tłómaczono. Główną ich treścią—gra słów, kalambur, umyślnie czepianie się wyrazów, nie sensu. Eulenspiegel je w gospodzie u pierwszego, najdroższego stoła za 24 fenigi i upomina się po obiedzie o tę płacę, na którą przecież rzetelnie zarobił, jedząc za trzech; uszył wilka, gdyż mu tak kuśmierz dla krótkości powiedział, zamiast wilczury; piecze sowy i kóczkodany, jak go rozgniewany mistrz-piekarz ofuknął; rzuca Chmiela (psa) do kadzi, gdy mu w browarze chmiel warzyć nakazano;

²⁾ W rękopisie wrocławskim z połowy XV wieku z kazaniem naszego Pawła Zatorczyka wpisała ręka spólczesna na karcie tytułowej cztery figle Gonelli, odmienne po części od tych, które na początku XVI Rainaldo z Mantuy przytoczył—najlepszy dowód, jak rychło facecye te po świecie się szczyły. Górnicki „Gunelle“ znał dobrze i figiel jego o mniemanych głuchych kazał, Giżykiemu z Kasztelanem krakowskim, Szydłowieckim, powtórzyć; wniósł Giżycki w Kasztelana, że ma żonę głuszkę, a żonę o głuchocie Kasztelana przestrzegł; gdy się oboje zeszli, jedno drugie przekrzykiwało ku nadzwyczajnej uciesze niewybrednego towarzystwa. Pendant do dowcipu Gonelli (jakich ludzi najczęściej—jakich najmniej) wziął Stańczyk z facecyj Bebla: najmniej księży, gdyż jednemu muszą kilka beneficjów dawać; szlachty, bo wszystko do niej się pcha; żydów, bo i chrześciance lichwią.

przyrzuca przez całą noc rękawy do sukni, ale choć trzy świece przytęm spalił, rękawy do sukni nie przyległy; gdy mu polewkę cząmbądź okraścić kazano, on tranu użył; wziął parę butów lub pieczeń, gdy mu je (dla kupna) stręczono; sprzedał konia, który bardzo wiele je i przez drzewa nie sadzi, lecz ząpóźno spostrzegł się kupiec, że koń kąsał ludzi i przez mosty nie przechodził itd. Albo płaci brzękiem za wędch, ale ten wykręt od starożytności się powtarza; gdy umierającego matka prosi, by jej co słodkiego powiedział, „miód“ wymówił (u nas każą coś „okrąg¹⁰“ powiedzieć — „pierścień“), a gdy go pyta, gdzie go boli, między łóżkiem a ścianą, odpowiada; połowę ceny zostaje na zawsze winnym, gdyż tak się z kupcem umówił itd. Gdy w wulu nocował a złodzieje ul unieśli, czubił on z ula za włosy to jednego, to drugiego, aż się złodzieje okropnie pobili, ul porzuciwszy — ale i ten niewinny motyw odwieczny: mężny krawiec, co to siedm (much) od jednego razu zabija, w podobny sposób olbrzymów pokonał. Znane są życzenia jego: nie życzył on sobie nigdy pokarmu zdrowego (z apteki), mocnego trunku (wody, obracającej i koła młyńskie), wielkiego szczęścia (że dachówka nie zleciała nań i nie zabiła go). Prawdy, które wypowiada, nauki, które daje, rozumieją się same przez się, jak owe, które zebrany zewsząd krawcom dawał, lub wyszydzają łatwo-wiernych, gdy na przykład z wieży, jak ksiądz z Kalenbergu, latać się podejmował, albo gdy chłopca dla zabobonu za spotkaniem zająca i wilka ukarał, konia wilkowi - szczęściu na pastwę zostawiając. Że chłopce sprzedającej kury odbiera i w zastaw zapłaty jej własnego kapłona jej oddaje; że chłopca o sukno oszukał, wmawiając węń, że ono sine, nie zielone (inni ciele, za psa je udając, od chłopca wyłudzi-ili), należy do rzadszych u niego figłów; zwykle bowiem mści się u niego chłop nad zdzierstwem mieszczan, karczmarzy i rzemieślni-ków, albo kuglarz wędrowny za hańbę cechu swojego filistrom miej-skim odplaca. Parodjuje on nieraz i słowa pisma świętego; szydzi z wiary w relikwie, z niemoralności, nieuctwa i chciwości księży (nie każąc jednemu głęboko do garnka z miedziakami sięgać, gdzie on całkiem czego innego nakładł); wydrwiwa się od szubienicy miejskiej, od nielaski książęcej: jak Gonella, zakupiwszy taczkę ziemi, rozgościł się na niej, jako na swojej własnej, gdy mu książę swego kraju zabro-nił, albo między własnymi czterema kołami (nogami końskimi) bez-pieczny osiada. Naznaczony on jest zresztą od samego dzieciństwa: w jeden dzień trzy razy go chrzczono (w kościele, w rowie, gdzie z nim podpiła kumoszka wpadła, w kotle, gdzie go potem z błota umy-wano); kilkuletni już płatał figle, lecz ojca o niewinności swej prze-konał, jadąc z nim wierzchem i, to tak, to owak z ludzi szydząc; po śmierci ojca rozwydrzył się zupełnie na utrapienie biednej matki, któ-

ra sztukami złodziejskimi nie długo żywił, poczem na wędę się puścił i świat wydrwiwał i wyzyskiwał; jeszcze na łożu śmiertelnym figle płał, obdzielając w testamencie skarbami swemi, zawartemi w skrzyni, przyjaciół, radę miejską i plebana w Mölln, — lecz w skrzyni okazały się potem tylko kamienie, i spadkobiercy posądzali się nawzajem o złupienie jej. Pochowano go nawet nie po ludzku, gdyż trumna zsunęła się i stanęła sztorcem, i tak ją zostawiono. Zawsze i wszędzie okpiwał on ludzi, raz tylko stara gburka grubo go zwiódła — a więc i Sowizdrzał nie był nieomylnym.

Charakteryzując po krótku Sowizdrzała, przemilczeliśmy najlichniesze figle jego, o których w przyzwoitym towarzystwie ani sposób napomykać; chociaż i Gonellę we Włoszech, a Piotra Smolika u nas o jeden i drugi podobny „kawalek“ pomawiają, razi rubaszny błazen niemiecki powtarzanymi aż do obrzydzenia warzycjami na ten sam temat, i prześmiadł nim żywcem. Jeżeli te plugastwa uprzątujemy, musimy Sowizdrzałowi przyznać sporą dawkę dowcipu i ironii. Nie widać jej już w naszych tekstach, gdyż to dowcip najpospolitszy, słowny, ginący więc przy przesadzaniu z języka jednego na drugi, ulatniający się już doszczętnie przy przejściu tekstu dolno - niemieckiego w górną niemieczyznę, cóż dopiero przy tłómaczeniu jej na polskie. Psa „Chmiela“, zamiast chmiel warzyć, toć nie dowcip, to silenie się gwałtowne na figiel wstrętny, lecz w oryginale dolno-niemieckim jedno i to samo słowo chmiel i kurtę oznaczało. Również nie imponuje nam już i taki dowcip: Sowizdrzał poleca się dla swej prawdomówności karczmarce; ona mu to bardzo chwali, lecz oburza się, gdy jej zaraz przymówił, że żyżem patrzy, choć to prawdą było, poczem jej Sowizdrzał figiel z praniem futer płał. Otóż my nie widzimy tu żadnego związku, a związek był w oryginale: Sowizdrzał bowiem pierze babom futra tza., rznie im prawdę, jak właśnie dowiódł; baba zaś tę lokucję pojęła dosłownie i znosi mu futra do prania; w to mu graj, teraz już psotę wyrządzi niechybnie. Jeśli pan Sowizdrzałowi radził, by do konopi żołądek wypróżniał, a ten to i do musztardy zrobił, to nie u nas dowcip zrozumieją, ale w stronach, gdzie nazwy konopi i musztardy równie brzmiały; bywał Sowizdrzał więc lepszy, niż jego reputacja dzisiejsza.

Powtarzamy przysłowie: głupich nie sieją, sami się rodzą — ależ to Sowizdrzał w mieście nad Wezerą na rynku kamyczki rozsiewał; pytają go kupcy, co robi; sieję błaznów; nie trzeba, dosyć ich i tak, siej dobrych; a nie, ci by na tej ziemi wcale nie wzeszli, — odciał się im Sowizdrzał, za co go z miasta wyświecono. Śmiejemy się z krawców, że wiatrem podszyci; lecz to Sowizdrzał figiel urządził, że niby wiatr krawców z altany zwiął, którą on tajnie podpiłował. Przedysputowa-

nie mistrzów w Pradze, podobne do opowiadania o opacie i pastuszku; uczenie osielka czytania z psalterza w innym mieście uniwersyteckiem, Erfurcie; debiut paryski wreszcie wprowadza Sowizdrzała w kółła uczone; naiwna przebiegłość jego zwycięża. Raz, udając medyka, oszukał ku ucieście całego dworu lekarza zarozumiałego: wariacye na ten temat kursowały u nas jeszcze w wieku XVII, i opowiadano je na przykład o Słowikowskim, błaznie Stanisława Lubomirskiego. Inne, arcynieestetyczne, powtarzamy do dzisiejszego dnia, lecz opowiadający nie wymieniają już nigdy nazwiska autora właściwego; trzy z nich umieściły „Facecye polskie“, zbiór anegdot, bardzo w XVII wieku popłacający³⁾, lecz również zataiły autorstwo Sowizdrzała, odając jemu, strojącemu się nieraz w cudze piórka, wet za wet.

Tyle o Sowizdrzałe niemieckim, gburowatym i złośliwym psotniku, a raczej szkodniku, natrząsającym się bezkarnie i nielitościwie z nieopatrznych; (ich wina przecież, czemuż nie otwierali oczu i uszu, jak to charakterystyczne dla typu choćby John Bullów i Yankesów) — prześladowającym zarazem wszelki fałsz, przesąd, niesprawiedliwość, gdzie się z niemi spotyka. Przechodzimy do Sowizdrzała polskiego, który u nas, na słowiańskiej, zupełnie nie odpowiednej ziemi, liczniejszego doczekał się potomstwa, niż na ojczystej glebie.

Przyswoili go sobie Polacy bardzo wczesnie, rychlej, niż Czesi, Duńczycy i inni; tylko tłumaczenie flamandzkie (i francuskie przekłady z flamandzkiego) wyprzedziły polskie. Ale gdy Czesi, lub Fran-

¹⁾ P. Estreicher w Bibliografii wymienia jako pierwsze ich wydanie z roku 1650, lecz biblioteka Berlińska posiada egzemplarze z roku 1624, na tytule jako poprawne, a więc drugie, oznaczone; autorstwo Paprockiego domniemane nieczym się uzasadnić nie da; anegdoty ułożono wedle treści w sześć działów. Każdej anegdocie dodano morał w dwóch wierszykach. Zbiór ten, prócz licznych wydań polskich, dostał się do literatury ruskiej i rozszedł się w licznych odpisach, „powieści śmiechotworny“ itd. Korzystali z niego chętnie dawni poeci, Waclaw Potocki i inni, nie wymieniając źródła; pierwszą facecye, udratyzował Baryka, (Z chłopca król, w roku 1637), a za naszych dni Hauptmann (Schluck und Jau).

cuzi zachowali niemieckie nazwisko, Enszpigiel, Ulespiegle, tłómacz polski wyłożył je bardzo trafnie: Sowizdrzał (jak Nasieżdrzał), t. j. patrzący jak sowa. Z wydań polskich XVI wieku nie zachowało się żadne; znamy je tylko z inwentarzy księgarskich (z roku 1548 i z innych lat), i posiadamy egzemplarze dopiero z końca XVII i z XVIII wieku, dalej nowsze wydania, albo przeróbki ludowe, wrocławskie, warszawskie, chełmińskie i t. d. Wydania polskie, szczególnie późniejsze, opuszczają drażliwsze anegdoty, tak, że ze stu spada ich liczba niemal do połowy, polonizują nazwiska, mówią o panu Molińskim (Mölln), wstawiają Gniezno, Poznań, Brody i t. d., zamiast miast niemieckich; zresztą nie odstępują wiele od oryginału. Fantazyi Maciejowskiego o związku Sowizdrzała z Twardowskim i słowiańskiem jego pochodzeniu nie uwzględniamy, pomijamy i całą bibliografię, wymienianie i porównywanie wydań i t. p.

Co nas głównie zajęło, to nasza bogata i ciekawa literatura „sowizdrzalska“ XVII wieku; cały szereg najpopłatniejszych dzieł ówczesnych wyszedł pod patronatem sowizdrzalskim, a dziełka te zasługują na osobliwą uwagę, gdyż reprezentują najlepiej żywioł mieszczanski w dawnej literaturze.

Dawna literatura nasza wydaje się niemal wyłącznie ziemiańską, szlachecką; nawet mieszczenie, jak Szymonowic, podszywają się pod ów ton dominujący; tylko u Zimorowicza, a jeszcze więcej u Kłownikicza występuje żywioł miejski w całej pełni, w tematach, jakie obierają, i w pojęciach ich, i w języku nawet. Lecz ta wyłączność szlachecka tylko pozorna; było bowiem tak silnie rozbudzone życie umysłowe dawnej Polski, że i mieszczaństwo ogarniało, i jak dawna literatura polska, bynajmniej jednemu tylko wyznaniu nie oddana, obok katolików i dysydentami się cieszyła, tak samo i obok stanu szlacheckiego miejski w niej głos zabierał. O tym żywym udziale mieszczaństwa milczą jednak szablonowe dzieje literatury; dla tego musimy ciekawą a ważną kwestyę poruszyć, chociaż od tematu powieści ludowej znacznie się oddalimy.

Przyzwyczajiliśmy się wyczytywać w dawnej literaturze naszej tylko to, co szlachcie i kościołowi treść życia wypełniało, co im czy dolegało i szkodziło, czy skarbów i wpływów przysparzało: obóz i trybunał, sejm i dwór, trybularz i cela, życia wiejskiego zabawy i troski odbijają się w tysiącnych wariacjach na kartach tej literatury; za to u Reja, czy u Kochanowskiego na przykład, o mieszczańach zupełnie głucho; jedyny Marcin Bielski, wytrwale a napróżno szlachtę do osiadania po miastach animujący, o trybie miejskim, w cechu i na targu, pisywał. W istocie zaś mieszczenie ci, wyzbywszy się dawno cech obcych, zassymilowani zupełnie, żyli życiem narodowym, odczuwali

wszelkie jego fazy wielkości, czy upadku, brali udział w życiu umysłowem, podziwiali i naśladowali Rej'a, choć „lutra“, jak Kochanowskiego, a prócz tego mieli na pieczy swe własne zajęcia, cele, ideały. Nie z literatury szlacheckiej dowiemy się też, jak się żyło w warsztacie, kramie i cechu, jak się biedowało na kantorji i bakalarstwie, jak służby po panach odprawiano — tym wyrazistsze świadectwa tego wszystkiego pozostawiła literatura mieszczańska, opiekująca się i chłopkami, opiewająca na rozmaite ludy wielkie dolegliwości i coraz mniejsze uciechy i dostatki obu stanów w licznych broszurach, pomianych z pogardą przez naszych literatów i bibliografów, a stokroć ciekawszych i ważniejszych, niż wszystko to, co oni skrzątnie zapisują, ogłaszają i wydają.

Żalom tym i skargom, fraszkom i żartom brak nieraz zupełnie artystycznej oglady, głębszej myśli, większej różnaitości; jak ubogiemi, monotonnemi bywają np. ich tony erotyczne, nie wynoszące się nad oklepane komunały — lecz brak finezyi i artyzmu nagradza rodzimoiść tych słów, obrazów i myśli. Autorowie mieszczańscy zagranicy nie znają, Włochów nie naśladowują, łaciną nie wiele usta pomazali, reminiscencyi klasycznych nie cenią, ani nie wyszukują; obcy im Petrarcka i Tasso, Ariost i Marino, Ronsard i Bartas; żąto nuta ich rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny; forma niewyszukana, ale swojska; podziwiają oni (i okradają) Kochanowskiego, ale stokroć im bliższy Rej, chociaż sami nigdy — by się do „lutra“ nie przyznali; nie obce im żywioły ludowe, chociaż nie opuszczają stanowiska „łyka“, drwiącego z opilego „gbura“, z jego tańców i spiewów, nie wnikającego głębiej w stosunki realne, tem mniej w duszę chłopca. Są oni wszyscy dobrzy katolicy, o lutrach tylko z przekąsem wspominają, czasy „za heretyków“ należą u nich już do dawnej przeszłości; co gorsza, pogodzili się oni zupełnie z odepcnięciem stanu swego od życia i wpływu politycznego, nie aspirują do żadnej roli wyższej, nikną w szarym tłumie, sarkają na przewagę żydów i obcych, na nadużycia szlacheckie, zagrażające ich dobrobytowi, na przywary chłopskie, na ogólną opieszałość i niedbałość. Za to obchodzą się bez panegiryzmu i „makaronizmów“; złota staropolszczyzna przelewa się i mieni w ich niekunsztownych zwrotach; nie boją się oni przesady, parodyi, nawet rzeczy świętych nie uszanują, rubaszni, wszystko po imieniu nazywają i gorszą tem ucho cenzorów duchownych. Wawrzynów nie zbierają żadnych, nieznanu nikomu z imienia i czasu; Januarius Sowizdralius, Jan z Kijan; Jan z Wychylówki, Jan Oleski, Dzwonowski — toć niby autorowie, a czas oznaczony np. tak:

Tego roku kobyły piechotą chodzą,
 Niewiasty cknęły bez jajec, że się nie zrodziły,
 Ziemia się na ten czas trzęsła całe dwie niedzieli,
 Kiedy ją chłop wziął [wioził?] na takach, toście niewiedzieli.

albo tak:

Spisany roku niedawno przeszłego
 Dnia pierwszej niedzieli niektórego miesiąca jasnomokrego.

A miejsce druku: w Oleśnicy na pacanowskiej ulicy itp. Nikomu, albo raczej wszystkim przypisują swe karty, żartując z obowiązkowych (wówczas) dedykacyj:

żebym ja miał chodzić od pana do pana,
 Wychodził^{by}bym nogi po same kolana...
 Przyjmijcie od Sowizdrzała, najmilsze sowy,

zwracając się do „kwiczelnika (czytelnika) paskudnika“ i t. d.

Okradają się też nawzajem niemilosiernie: wiersze z kiermaszu na Zawisłu (O pijanych ludziach) powtarza dosłownie nowy Sowizdrzał; wiersze o skąpym panu i Dedykację Operis powtarza Sejm Oleśnicki z Sowizdrzałów, jakby autor był ten sam. Korzystają z nich bez ceremonii i szlacheccy pisarze; Silvae rerum przejęły np. z frażsek Sowizdrzałowych „Przeżegnanie stołu“ i „Dziękowanie po obiedzie“ (parodye pacierzowe: miła święta Helźbieto z miłą świętą Anną, Przeżegnaj nam kiszki pospołu z brytwanną... Któryś raczył nakarmić, czynmyż jeno dzięki, że kto oka nie wyklól i nie urznał ręki itd.), albo „Choroby włoskie“. I Kochowski, i Potocki czerpali nieraz z tej literatury, chociaż się przed nikim z tej kradzieży literackiej nie spowiadali. Wszystkie te świstki ulotne koniecznie przedrukować należy: są one nieskończenie ciekawsze i ważniejsze, niż to, czem nasi wydawcy „Bibliotek staropolskich“ i „Materiałów“ z cierpliwości i pobłażliwości naszej się natrzęsają.

Z czasem jednak zaczyna wysychać nieprzebrane to źródło humoru staropolskiego, obrazków realistycznych, rysów obyczajowych. W drugiej połowie XVII-ego wieku i za czasów saskich gdy Polska moralnie i materialnie z każdym rokiem ubożała, gdy mieszczaństwo ginęło bez ratunku, a chłop w najcięższej niewoli usychał, z bogatej kapeli literatury dawnej wynosili się jeden muzyk po drugim; uchodzą najpierw Arjanie i Kalwini, przycichają instrumenta miejskie, głuszą wszystko puzony panegiryczne i piszczałki ascetyczne. Jeszcze za Wazów było jednak inaczej.

Nie myślimy tu wytaczać całej sprawy miejskiej w dawnej literaturze; ograniczymy się do tego, co się około Sowizdrzała skupiło. O popularności jego świadczy już sam epigraf, powtarzany po wszystkich wydaniach: Sowizdrzał stary, Zejdzie się w dary; nazwiskiem „Januarius Sowizdralius“ podpisują najrozmaitsze dziełka satyryczne i śmieszne, np. Peregrynację Maćkową z Chodawki Kurpetowego syna (dodana do Peregrynacji Dziadowskiej z r. 1612); podpisał I. Swizralus „własnonożnie“; jest to bajka śmieszna w narzeczu ludowym o wędrowce Maćkowej i dziwach, jakie po drodze widywał. Sowizdrzał podpisał i Sejm Piekielny, albo jak go Naruszewicz w satyrze o chudym literacie mylnie nazywa, Szatański, tyle razy w XVII-ym i XVIII wieku przedrukowywany, gdzie to Lucyfer słucha sprawozdania swych wysłańców: Baliała, Latawca, Didka i innych; każdy z sukcesów swoich słusznie się chełpi i wysławia szeroko sieci i zasadzki, w które mu ludzie wpadają. Lecz gdy tu tylko firma „sowizdrzałska“ wystawiona, inne dzieła rywalizują wręcz ze starym Sowizdrzałem. Był on rubasznym i sprośnym, ale nie zawierał nic niemoralnego, nie gorszył, jak to wyraźnie dodawane do niego wiersze polskie poświadczają; nowe za to Sowizdrzały dostawały się za wszeczeństwo natychmiast na indeksy ksiąg zakazanych, np. na indeks biskupa Szydłowskiego z r. 1617; odbierano je księgarzom i palono. Mimo to przechowała np. Biblioteka Kórnicka pojedyncze ich egzemplarze i nadzwyczajnej uprzejmości dyrektora p. Celichowskiego zawdzięczam, że o rzadkościach tych sprawę zdać mogę.

Są to mianowicie „Fraszki Sowizdrzała Nowego“ — „Jan z Kijan Fraszkę te wszystkim ofiaruje, Kto chce mieć, niech drukarza za pracą daruje, Kiedy Druku nie było, pewnie się udyszał, Anizeliś książkę ku swojej potrzebie spisał“, w Krakowie R. P. 1614, kart sześnaście; „Fraszki Nowe Sowizdrzałowe“ z innym bardzo dwuznacznym a raczej nie dwuznacznym wierszem tytułowym w Krakowie R. P. 1615, kart 28 (powtarzają, w innym porządku, poprzednie wydanie i dodają nowe rzeczy); wreszcie „Nowy Sowizdrzał Abo raczej Nowyżrzał, Nie patrząc ja jako sowy“ (bez miejsca i roku, lecz wniesiony

na Indeks 1617), kart 20. Wszystkie trzy broszury wyszły z pod jednego pióra, zdawało-by mi się, Kaspra Twardowskiego, autora bardzo dobrych wierszy pobożnych i okolicznościowych, gdyby on w przedmowie do dziełka p. t. „Łódź młodzi z nawalności do brzegu płynąca“ (Kraków 1618 r.), autorstwu temu nie przeczył. Wyzna-je on tam, że niema spełna roku, „jakom trochy dowcipu na rytmy drugich gorszące rozpuścił“ i nie dosyć, że je czytano pisane, chciał je podać do druku (por. pozycję Indexu ksiąg zakazanych z r. 1617 Fraszkolos, bądź pisany, bądź drukowany), ale dowiedział się o tem biskup (Szyszkowski), instygujący właśnie na książki niemoralne, i temu przeszkodził. Chciał Twardowski mimo to dekret wikarego biskupiego obejść, gdy nagle zapadł w ciężką chorobę i skruszony po-wziął zamiar pobożnymi rytmami okupić, co światowymi zgrzeszył:

Żywot swawolny w łodzi pobutwiałej...
Dzisiaj uwodzę od matni przekletej,
Pod maszt zbawienny

(Zbawiciela) i t. d. Tak powstała owa Łódź r. 1618 i rozpoczęła szereg wcale udatnych wierszy, górujących i treścią, i formą, nad spółczesnymi piśmiłkami ascetycznymi (Pochodnia miłości bożej z pięcią strzał ognistych 1628 r.; Bicz boży albo krwawe lzy utrapionej matki ojczyzny polskiej po zmarłych synach swoich; Pruszcz r. 1649, je nieco przerobił i nowo wydał; Kolęda, Nowe lato, Szczodry dzień albo piosneczki Emmanuelowe r. 1619, lepsze niż podobne wiersze Miaskowskiego, przypominają Lubomirskiego pieszczone wiersze pobożne; Bylica świętojańska itd.),

O tym Kasprze Twardowskim, który z wielkopolskim epikiem, Samuelem Twardowskim, tylko nazwisko przypadkiem dzieli, twierdzi Księga Chamów k. 406: „Twardowski nazwał się Kasper z Sambora, miejski syn, krawiec ociec jego był; ten syn służył I. Baranowskiemu w Rusi u Brzeżan, potym Ks. Zasławskiemu a. 1630, zaś potym u Dominika Ks. 1631. Wiersze pisuje ex tempore“ (informacje te „od Milakowskiego studenta“). Jeżeli nie K. Twardowski sam autorem tych fraszek, to podobną szkołę życiową przeszedł ich autor właściwy i dla tego nie zawahaliśmy się przytoczyć tych szczegółów.

Ale mniejsza o autora (wyrazy niektóre, powtarzające się u K. Twardowskiego i w tych Fraszkach osobliwsze, naprowadziły na tę

myśl) — rozpatrzmyż treść samą. Odmienna ona od Sowizdrzałskiej, bo zmieniły się czasy; w wierszu „Na starego Sowizrzala“ powiedziano też słusznie:

Nie umiałbyś teraz nic, stary ancykryście...
 Mógłbyś wówczas być nad mię trochę foremniejszy...
 Ale tu u nas w Polsce niegodzien być strawy,
 To nawiętsze misterstwo, iżeś był plugawy...
 Już teraz są daleko przedniejsi blaznowie...
 Żeby się miał przed panem błazen upługawić,
 Wziął-by kijem, nie wiem by mógł za tydzień ożyć.
 I między rzemieślniki teraz trudno błaźnić,
 Wnet za włosy wycudzą, szkoda ich i drażnić.
 Żartować przy biesiedzie, to tylko nie wadzi,
 I to potrzeba patrzeć, jeśli temu radzi.

Minęły więc czasy średniowiecznej prostoty i rubaszości niesłychanej, gdzie same żarty de naturalibus popłacały, lecz i teraz wybredność jeszcze nie wielka. I tak wypełniają rubrykę medycyny sowizdrzałskiej przepisy „pewne i doświadczone“, których dla ich nieprzyzwoitości przytaczać nie można, chyba ów środek na „tęsknicę“, (melancholię): z pacyentem przejdź się na pole, kędy szubienica:

Powiedz mu: będziesz widział godzinę swej śmierci,
 Mów mu: aleś nie umarł w-ówczas, kiedy marło,
 Aleś i nie utonął, choćże były wody...
 Uwiąże go, a prędko, niech go kurcz nie łamie...
 Wierz mi, że mu nie będzie serce więcej drżało...

Inny przepis przytaczamy, ponieważ przywłaszczył go sobie Imć. St. Wronowski roku 1638 i za to „medykiem Babińskim“ został:

Gdy cię febra nagaba, wleże w piec w kożuchu,
 Uźrysz, żeć lepiej będzie, niż w złotym łańcuchu;

A jeśliże gorączka, wleże w wodę z głową,
A mnie dziękuj za radę dwoistą i zdrową.

Dobry wiersz pod tytułem: Którym członkom które zna-
mię panuje:

W oczy prawda każdego nie pomału kole,
W piersiach gryzą domowe ustawiczne mole itd.
Ktoby ustawnie robił, ręce bardzo boła,
Przeto drudzy karty grać, pić a pisać woła...
Żywotowi zaś bardzo młode piwo szkodzi itd.

Naszydziwszy się dowoli z lekarzy, z ich praktyk (np. radą, iż-
byś z rana nigdy po wietrze nie chodził, spadłbyś na łeb, jak djabeł
itd.) i sobkowstwa, z adwokatów (prokuratorów), docina kalendarzom
i ich lgarstwom w Ostromendryi (tj. astronomii) Sowizrzalskiej, opi-
suje „sferę sowizrzalską“ — ale nie niebieską, z planetami, tylko
kobiecą, której rozumem ogarnąć nie można—wcale dowcipnie. Zna-
komite są dalej tłumaczenia Sowizrzalskie sławnych dwuwierszy
Katonowych, od których naukę łaciny rozpoczynano przez tyle wie-
ków, np. moral o skromnym darze ubogiego przyjaciela, który z wdzię-
cznością przyjąć należy, tak Sowizdrzał wyłożył:

Jeślić kto da wierecimakiem,
Nie swarz się z nim, nieborakiem;
Przyjmi, choć cię boli szyja,
Bo nie miał dłuższego kija.

Średniowiecznego Katona tłumaczy się naturalnie średnio-
wiecznym wierszem, ośmiozgłoskowym. Albo ów moral, aby do rady,
nie będąc wezwany, nie przystępować:

Nie kwap się na szubienicę nigdy swą osobą;
Czekaj ażę kto drugi razem pójdzie z tobą.

Inne morały, niestety, nie przyzwoite; ujdzie jeszcze ten:

Nie daj sobie lajać żenie,
Chceszli mieć duszne zbawienie,

o którym się staremu Rzymianinowi również nie śniło.

Przechodzimy od jednej parodji do drugiej, tym razem warsztatu dotyczącej: wystawiano tam dla chłopców nauki na tablicy, które malarz Śmiadecki pięknym wierszem był ułożył¹⁾; Sowizdrzalskie Nauki Potrzebne Do Rzemiosła brzmią jednak inaczej:

Leż aże do południa, ani się daj budzić;
Wstawszy nie umywaj się, ani też czesz głowy,
A buty niechaj będą upatrzone błotem,
Powiedz panu, że się to samo wytrze potem;
Gdy pan żupan położy, ty w kieszeni macaj.

¹⁾ Przedrukowano je niedawno z unikat w „Wiśle“ w XI tomie; nasze są miejscami wyraźną parodją poważnych i pięknych słów Śmiadeckiego, chociaż zaczynają nie od Kochanowskiego, lecz wprost:

Ktoby się chciał na świecie rzemiosłem zabawić,
Masz to sobie w warsztacie z tablicą postawić,
Nauki sowizdrzalskie, jak się masz sprawować id.

Nawiasem nadmieniamy, że malarz krakowski i brat cechowy, Frane Śmiadecki, również za wyborny typ literatury mieszczańskiej uchodzić może. Pozostawił on między innymi parafrazę poetycką księgi Eklezjastes p. t. Vanitas vanitatum, napisaną w dobitnym, prostym języku, w duchu mieszczańskim, kładącym szczególny nacisk na trzeźwość, ostatni ratunek upadającego mieszczaństwa, przestrzegając, aby nie pić więcej wina dziennie, niż pół kwarty!! Malarza ujawniają bogate ilustracje (sceny ze Starego Testamentu) i pyszne obramowania kart. Jego nauki warsztatowe mają tytuł: „Sługa abo uczeń co powinien panu swemu w rzemiośle“.

Pamiętaj zawsze zełgać, gdy cię poszłą kędy,
Panu dla uczciwości ukradnij co wszędy,
Dzieci pańskich podrażnij, a z panią się poswarz

itd.; tegoż samego rodzaju jest List Wolny Od Rzemiosła:

Przyszedł do mnie jako łotr w żupanie podartym,
Ojca nie miał jako żyw...
Kędy służył, kijem mu dawano za myto;
Jego matkę trzy razy u pręgierza bito.
Wychowanie takie miał, jako się urodził,
Wszystko w browarze legał, abo dziady wodził...
Obludny, chytry, głupi, zgnily, leniwy,
Złość każdemu wyrządzić, zdrajca niecotliwy itd.

Dostaje się i poszczególnym rzemiosłom, zwłaszcza szewcom
np. „Psalm Szewcom ku czci, ku chwale, bo łgarze“:

Panie Boże wiecznej chwały!
Potłumże ten lud zuchwały.
A nabarziej te to szewce,
Bo żaden dobry być niechce itd.

Oni bowiem:

Łgarstwa się dwa roki uczą, a rzemiosła trzeci,
Więc jako ojciec łgarzem, tak i jego dzieci.

Już w przysłowiach Rysińskiego (1618) czytamy: między rze-
mieśnikami najwięksi łgarze szewcy, a jeszcze „mało co robią, usta-
wicznie piją“; dalej przygania młynarzom, najgorszym złodziejom:

Młynarze, ci nigdy o chleb nikogo nie proszą;
 Nie mówię ja, żeby kradli: do domu im noszą.

Nie szczędzi innych, bo „siła w rzemiośle machlerzów:“ już tu przebija wyraźnie cała mizeryja późniejsza rzemiosł u nas.

Od cechu przenosimy się naturalnym trybem do miasta samego i jego porządków. Autor nasz, Podgórczanin, zna na wylot owe dziś tak nędzne mieściny, od Krosna, Jasła i Bieczu, aż po Krakowiec i Przemyśl, ale zna je jeszcze kwitnącemi i bogatemi, nie może dosyć wysławić organów krosieńskich, słynnych na całą Małą Polskę, handlu winami węgierskiemi itd., chociaż i tu nieraz zażartuje, np. o zegarze bobowskim powie nam:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary...
 Więc raz bije pięćdziesiąt, drugi raz dwie kopie...
 Południe wtenczas, kiedy bydło z pola ryczy;

Albo o „smatrucie“ przemyskim, który sobie przekupki wymurować dały, żeby mieć pokój przed ciźbą na dole, i rzeczywiście miały pokój, gdyż nikt do nich na górę nie przychodził kupować; ani kropienie wodą, ani palenie ziół nie pomogło, musiały więc znowu zejść na dół, bo nie „będzie Przemyśl Krakowem“. Bardzo pocieszne są żarty z Krakowca, który chyba ten jedyny raz w ciągu istnienia swego sylwetki literackiej się doczekał, z jego mieszkańców dwoistej wiary (łacińskiej i greckiej) i z jego małżeństw mieszanych:

Ojciec każe do cerkwi, matka nie da chodzić,
 To dzisiaj mama święci; a nanusiek pości...
 Bakalarzów do roku o dwie kopie mają,
 Dziś da dziecię do szkoły, jutro do Rusina,
 Kwartału nie zapłacić, już to nie nowina...

Zeszliśmy teraz do bakalarzy: i tego chleba nasz autor czy autorowie próbowali i na wszelkie łady niedolę stanu swego wystawiają: piszą Respons na Synod Klechów podgórczkich (brozurę niedawno

przedtem wydaną) i pytają, co na tym bakałarze zyskali, chyba jak na Rokoszu, tylko kije; wyliczają „Delicje Szkolne“:]

Piec sfluczony, drzwi spadły, podrapane blony,
Z ścian lepienie upadło, zimno z każdej strony...
Przywilej z pajęczyny w każdym kącie wisi...
Wyspać się zawsze wolno, byś chciał do nieszporu.

Inne wolności: mieszkania wolne, nie płacą też czynszu, ani poboru, za to wikt nasz:

Ktoś z korzeniem, a oni korzenie jadają.

Jeśli cierpisz na brak apetytu, zamiast do doktora, pójdz do Kantora, a jadaj co i on:

Wierz mi, że cię do misy wprzód nikt nie ugoni.

Trapią ich żony, bo ogólna reguła: złe żony mają:

Żacy a organistowie, balwierze, malarze...
Co dyabeł przez płot przerzuci, to się im dostanie.

Lecz mimo tej nędzy, humoru nie tracą, świat im nie zagrodzony, odejdą i szkoły i żony:

Gdy kałamarz u pasa, a za czapką igła,
A parteski (nóty) w tłómoczku, tylko jego bydła!
Chustek para, kołnierzyk, drugi koło szyje,
Choć ma drugi koszulę, tedy ją przepije.

Nie radzę ich drażnić, bo psotę wyrządzą:

Szukajże go po świecie, a on już w Mazowszu!

W „Psalmie (1) na ogorzeline⁶ porównywa więc „rybałt“ (zak wędrowny) dolę swoją z dolą z chłopą i natrzęsa się mu:

Rybałt przepiórkę obiera, a kapłon mu dowiera,
 W pieniążkach przebiera (!);
 Chłop wiecheć kapusty obiera a pęcak mu dowiera,
 W zgniłych lubaszkiach (śliwkach) przebiera;
 Rybałt miód, wino pije, panna mu wieniec wije,
 Jako paniątko żyje;
 Chłop mętą wodę pije, codzien cepami bije,
 Jako świnia w gnoju ryje itd. itd.

Żarty na ten temat niewyczerpane; co za powaga żaka, gdy „prawo zagnoją“ (zagają), a on pióro trzyma itd.

Deską ratunku bywa dla wygłodniałego żaka służba pańska, ale służba służbie nierówna. W obszernym wierszu: „Nie fraszka to“, opisany jest dwór i tryb życia zacnego jakiegoś pana koronnego, słynnego z wzorowego porządku⁵); lecz gdzieindziej bywa inaczej, sypią

1) Przytaczamy kilka wierszy na dowód, co pod wzorowym dworem i panem rozumiano: pozew nie postał nigdy w domu jego, rzemieślnika i „służałego“ każdego zapłacił („co się rzadko przytrafia, i to nie wiem kędy“!), poddanego nie trapił, dzieci wychował w karności; codzien po modlitwie idzie każdy do naznaczonej roboty:

Jedni gmachy chędożą, izby kropią wzorem,
 Drudzy się uwijają z miotłami przed dworem,
 Trzeci księgi, zegarki ustawia na stole,
 Czwarty szaty przesusza, by nie żarły mole,
 i t d.

Wychwała dalej ogrody, w których i ziola zamorskie, a w każdym „wirydarzu“ altany;

Stoły mają kamienne w sobie te pokoje,
 Włoskim strojem robione, a na cztery strony

się skargi na pochlebników, odtrącających zasłużonych, na panów skąpych i wszystko zagarniających:

Kiedy pan skąpy, kordyaczny, hardy, a ma cbleb twardy,
Barwa kirowa, piwnica na kołku: biada pacholku!

Wiersze te dostały się niebawem do przysłów Rysińskiego. Pyta stroskany Sowizdrzał: gdzie też owi panowie dobrzy się podzieli, którymi Polska słynęła—sąc jeszcze, ale że ich nie znać mię-dzy złymi; a jacy panowie, taka czeladź:

Który pan portki lata, a suknie nicuje,
Na tym każdy pacholek mało wysługuje;

a mimo to gospodarstwo nie spore, wszystko idzie wprawdzie z re-giestru, nawet gomółki serwateczane weń wpisują, sama pani „masło łyżkami sprzedaje, garnuszkciem maślanke“; już wszystko zabrali boga-cze, oni ścieżki poorali, skotniki wygony... Kiż wam dyabeł: odję-lście chleb ubogim, sami go nie macie! U takich panów nie dziw, że w końcu służałemu wypadnie zaśpiewać „Dumę Sowizdrzalską“:

Powiedz, wdzięczna kobzo moja,
Umieli co дума twoja,
Co może być szpetniejszego
Nad Kozaka odartego...

(Okien mając szesnaście) pokój rozwiedziony,
Na wszystkich okienkach herby malowane...

jest i altana (dwór z salą) wśród wody, pomalowane zewsząd, po groblach rzędem sadzone tatarskie zioła i t. d.; niektórzy ganią te jego utraty. Ale takich panów (każde kłamstwo i despekt Boży gniewał go) już w Polsce niewiele.

Więc kijem chleb po wsi piecze (żebrze);
 Gdzie może, tam co wywlecze i t. d.
 Jednak nas nędza gryzie,
 Tak w Podgórzu, jak na Nizie!

Oto wiązanka szczegółów o pojedynczych stanach; do wszystkich ogółem zwraca się „Kołęda Sowizrzalska“, rozdając, co w niebie zarwał: klucze dał mi „pięty Świotr“, bo mu ciężko wstawać każdemu otwierać — te dostają księża; pacierze dostał „od starej Piotrowej macierze“ (znana w podaniu ludowym osobistość) dla zakonników i t. d.

Wiersze te, bogate w rysy obyczajowe, przeplata szereg fraszek, anegdot, dowcipów, kłamstw, nieraz bardzo prostackich, nieraz wcale udatnych. Chłopi dają okazję do żartów, na przykład przy spowiedzi, gdy po wielu pytaniach ksiądz chłopa ofuknie: cóż pleciesz? — Koszałki, opalki, kobiałki — odpowiada naiwnie chłopek; ksiądz odepchnie go znowu: a długoż tego będzie? — Będzie rok i dwie lecie, kiedy się mocno uplecie i t. d. Dowcipów słownych, kalamburów najwięcej, na przykład: „idąc z Żarnowca ku Krakowu, widziałem kopy żyta na polu przed Wielkanocą“ (nazwa wsi pod Krakowem); na wezwanie, by na konfederatów co „składał“ (składacz — poeta w dawnej Polsce), odcina się Sowizdrzał: dosyć się na nich chłopci składali i t. d. Albo na kazaniu przedstawia ksiądz, że na próżno się tak usilnie staramy, gdyż ptaszkiwie niebiescy nie sieją, ni orzą, a przecież się za pomocą Bożą dobrze mają, — na co chłop: dyabła tam by się dobrze mieli, gdyby nie nasze brogi, które nam oskubują.

Osobną rubrykę stanowią „myśliwstwa Sowizrzalowe“. Co nam w zeszłym (XVIII) stuleciu pan baron Münchhausen — z czarnej linii swego domu — nałgał, za co w Babinie szlachta stara tytuły łowczych i sokolniczych pobierała, opowiada nam starszy od nich wszystkich łyk miejski, o niedźwiedziu, jak dyszel, miodem pomazany, weń wbił; o wieprzu, co klami w łopacie mu uwiązł; o liszkach, które w gromnicę wodą polewał, a one przymarzały, on brzytwką im ciała przerzywał i nagle na nie krzyknął, tak, że nagie ze skórki wyskakiwały i t. d. Inna zwierzyzna jeszcze osobliwsza: sarna, którą u chłopa na gnoju obszedł, ciągle szczekała; sobol strasznie go podrapał i „miau

śpiewał“; nabrał też niemały cebrzyk „kuropatw“ na kępie w wodzie, były zielone, a pierze jak na ogórku miały (żaby) i t. d.; gdy mnie panowie konfederaci pytali, *co*by czynić, aby ryby (których im moc nawieziono) nie posnęły, — trzeba im powiadać co śmiesznego, a tak, nie tylko usnąć, ale i drzemać nie będą; co robić, żeby ryby błotem nie śmierdziały, — powtarza figiel, jako stary Sowizdrzał u kuśmierz smród smrodem wypychał.

Częste są i parodye, nawet rzeczy świętych, na przykład modlitwy przed i po jedzeniu, które wyżej wspomnieliśmy, psalmów, wierszy poważnych, dum i t. p. „Psalm od morowego powietrza“ — zwykły erotyk, „Drugi psalm od nagłej śmierci“, poświęcony kostyrom:

Strózu nad kuflem, być go nie ulano...
 Obrońco mądrych żółednego tuza,
 Ty smutne serca rzodkwią, śledziem cieszysz,
 Gorzałką leczysz.
 i t. d.

„Psalm na dychawicę“, „na gorączkę“, znowu erotyki; — cóż dziwnego, że książd biskup takie książki tępił? Między fraszkami też wytknięto, co w człowieku „nieforemnie sprawiono“, na przykład: „dwie oczy przed sobą — a pilniej-by jedno za sobą mieć, żeby człowiek obaczył, kto go ma z tyłu pukać“, lub „to mięso, co na łydce, lepiej-by je mieć na goleni, nie tak-by się człowiek w goleń bardzo uraził“ i t. d. Mniej dowcipne są wiersze pod tytułem: „Różność nacyi z ich własnościami“, ale ciekawe, jako pierwsze tego rodzaju w Polsce (pomijając charakterystyki u Reja), potem naśladowane i tłómaczone przez najlepsze „ingenia“, na przykład przez Sam. Przypkowskiego i innych. Tu podany wizerunek Turka, Węgrzyna (bije na jego inowierstwo: wiara nowa, chłop stary, dyabłu wdzięczne ofiary), Włocha, Niemca (Niemiec pyszny i hardy... rad widzi krwawe boje... wszak pola nie dostoi, bo się Polaka boi — reminiscencye z pod Byczyny), Hiszpana, Anglika, Araba, Polaka (W Polaku męstwo, siła, by tylko trzeźwość była... są i insze przywary, niezgoda koło wiary!) i t. d. Następuje inwektywa na „Lutra“ (przerwańa uwagą: wróć się ja do swego rymu sowizrzalskiego), Rusina (kradną bez opowiedzi, bo od ruszania nazwani nie darmo), Żyda (skargi na ich rozmnażanie się, hardość, przewodzenie nad nami: już na mycie, na mo-

ście, by najuczciwsze goście, to żydzięta szarpają, już ich pełne ulice i w rynku kamienice i t. d. Wszystko zawdzięczają pieniądzom: by Chrystus zstąpił znowu z nieba, nie trzeba-by Judasza, byłby wnet u Annasza i t. d.). W osobnym wierszu mowa o Czechach, ale zbyt niepoehlebna: jeżeli już na początku XV wieku w Pradze mawiano, co Niemiec, to heretyk, a co Czech, to złodziej z natury, znajdujemy tu nową wersję: upiwszy się, ukraść, niechaj znają Czechal

Inne wiersze poruszają temata ogólne: o kobietach, trafnie a ironicznie, iście po sowizdrzalsku; o miłości, z bardzo drastycznymi pomysłami; o pokorze panieńskiej — ona przed ślubem płacze, niebożatko, ale ty po ślubie popłaczesz: dałem od ślubu dwa grosza—darowałbym, gdyby ją kto kupił; kto to wymyślił, nie mógł większej wynaleźć pokuty i t. d. Jeszcze lepsze wiersze o walce z trzema głównymi nieprzyjaciółmi naszymi: światem, dyablem i ciałem, ale nie dziw, że za tę walkę wiersze na indeks poszły, gdyż radzą one podleżeć, gdzie nie przeskoczysz: świata jeden nie zwojuje, z dyablem zła sprawa, bo ci figla wnet spleta sam, albo przez innego, tylko na ciało (nb. białe) ostro szturmuj! Dalej przedstawiona przyjaźń, stała, póki pożyczasz; nierówny dział na świecie — co za sztuka mądrość Salomonowa przy jego dostatkach i t. d., i t. d.

Pomijamy zwierzenia autobiograficzne, przeznaczone dla zwodzenia, lub zabawienia czytelnika, boć zapewnienie autora, „że ja już stary bazarz, muszę iść pod kościół z pacierzami, że mnie Sowizrzalstwo od suchych dni minęło“, nie należy brać dosłownie; ciekawa jego karjera: „obietadło“ tak mu się w znaki dało, że je brzydko wspomnieć, ale gramatyka dopiero zrobiła z niego męczennika; uciekwszy od niej, przyjął służbę, lecz jeśli przy szkole dyabeł, a tam tyle troje; więc wałęsał się po świecie, aż został u królewskiego dworu podczaszym:

Kazano mi nalewać krowom we ziób wody.

Tom się i sam napijał, zawsze były gody

i t. d.

Dobry też wiersz o jego rajskiem mieszkaniu pod Bieszczadem, przypominający Inwentarz Podgórskich Majętności W. Potockiego; wylicza on na przykład swoje bogactwa:

Wódki mam rozmaite, które z lasa cieką,

Ziół dosyć w aptece i grzecznych kamieni,

choćbyś chciał i Paryż rozwalić i t. d. Albo jego przygoda z drukarzami krakowskimi, którzy właśnie Nowego Sowizdrzała drukowali i autora z uciechy tak uraczyli, że on aż „urtami płacił“ (rebekował), lub z Sowizdrzałem samym, który „składaczowi“ frasobliwemu każe pod ławę frasunek skomponować.

Kończymy dwoma znamiennymi wierszami: „Żalсна pamiętka sławnej pamięci P. Jana Zamoyskiego, za którego Polska potężnie trwała, jak za najtęższym murem“ (Mocno trwały filarze... bogdajbyś był nie schodził z tego świata. . teraz nas mało nie kto chce, jak chce, ponieważ) i „Janowi Kochanowskiemu na jego kompozycyje“ — wiersz ten przytaczamy w całości:

Najsławniejszy poeto między poetami!
 Ty nigdy nie umierasz, zawždy jesteś z nami,
 Bo zawsze poglądując na twój wiersz wspaniały,
 Musimy się dziwować, że był rozum cały.
 By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
 Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami.
 Choć jeszcze drudzy kradną, ziarno z twej spiżarni
 Przywłaszczając za swoje, a to czynią marnie,
 Bo też ciężko drugiemu łamać sobie głowy,
 Woli wiersz choć kradziony, by jedno gotowy.
 Biedneż nasze żebracze płaszczyki łatane,
 Że się w cudzym szczycimy, za swoje wydane.
 Przetoć też naszej prace marnie używają,
 Przeczytawszy potem w piec abo wystrzelają.
 A Kochanowski przeciw, jako pan na stole:
 Czasem dwakroć oprawny, co pojadył mole.

Ten hołd mieszczański, złożony poecie-szlacheicowi, acz nie wybredny w zwrotach, — prócz owego bardzo szczęśliwego przymiotnika, wspaniały — taką dysze szczerością, że Żale Nagrobne Klonowicza z całą rozwlekłością i mitologią ustąpić mu muszą.

Na tych dwu wierszach, hołdach staropolskim cnotom i zasługom, kończymy streszczenie polskich Sowizdrzałów, chociaż — nadużywszy cierpliwości czytelnika — rzeczy samej nie wyczerpaliśmy, pomija-

liśmy wszystko śmieszne, a nieprzyzwoite. Sowizdrzał polski, jak widzieliśmy, nie zdradzał protoplasty, mniej rubaszny, nie mniej dowcipny, a wcale nie złośliwy psotnik, przetaił się na świecie, nabral ogłady literackiej, a chociaż sfery pierwotnej całkiem nie rzucił, potrafi nas nie tylko rozśmieszyć i zabawić, prawdę żartobliwie powiedzieć, ale i wzruszyć; gbur niemiecki wyszlachetniał na polskim gruncie.

Ciekawy szczegół, że w ogólnym zalewie literatury ruskiej przez „powieści“ ludowe polskie w XVII wieku Sowizdrzała brak kompletny: miałeżby to być przypadek tylko? Czy nie raczej brak zajęcia, przy braku życia cechowego, miejskiego, w dawnej Rusi?

Gdy tak w Polsce Sowizdrzał, roślina niemiecka, znakomicie się przyjęła i nowe nawet odrośle puściła, szczep romańskiego Marchołta, sędziwszy wiekiem, poważniejszy przytoczeniem, tajemniczy swym pochodzeniem, w Polsce oddawna już usechł zupełnie — sama nazwa już obcą nam się stała. Niegdyś było inaczej — pierwszy druk polski, pierwsze tłumaczenie wzorowe polskie, to właśnie Marchołt, i pełno o nim wzmianek, aluzji w dawnej literaturze; lecz od drugiej połowy XVII wieku zaczyna o nim być głucho — na Rusi od również wcale nie przeszedł, jak i towarzyszył jego.

Marchołt i Sowizdrzał, to średniowieczne dublety starogreckiego Ezopa, równie rubaszni błaznowie, a zarazem przedstawiciele rozumu chłopskiego, prawdy życiowej, odartej z frazesu i patosu; u Sowizdrzała, którego i marchołtowymi konceptami obdzielano, przeważa błazeństwo, u Marchołta obserwacyja gminna, ale trafna, i Marchołt zresztą wojuje kalamburem, czepia się umyślnie słów nie sensu, i zwodzi kompletnie Salomona.

Bakalarz Jan z Koszyczek wytłumaczył z łaciny na polskie „śmiesznego a krotofilnego Marchołta gadanie z Salomonem“. Dla pani (kasztelanowej) wojnickiej i sług jej na żądanie „impresora“ wiedeńskiego, a dziśby się może i chłopiek prosty na taką książczynę zachnął, i nikt-by jej sobie poświęcać nie dozwolił. Lecz cóż to za Marchołt, o którym Stary Testament nic nie wie?

Jeszcze świetniejszą rolę, niż w księgach królewskich, odgrywał Salomon w tradycji wschodniej. Czepiała się ta tradycja głównie duchów, nad którymi Salomon, mocą cudownego pierścienia, panował i wyprawiała dziwy o przejściach Salomona z duchami, czy duchem. Skoro ustalił się raz ten kontrast Salomona i ducha (nieczystego), nawiązywały się do niego nowe motywy: Salomon pouczał, spierał się, zwyciężał ducha - poganina, Saturna, czy jak go tam zwano; jeszcze później, gdy odezwała się żyłka parodyi, długo tajona, mógł w kontr szumnej i wyniosłej mądrości przeciwnik parodyować wyroczenie i objawienia królewskie; nadto lubiały średnie wieki walki na słowa i argumenta, aby nie pochwycić i nie rozsunąć motywu tego. „Rozmowy“ Salomona z Saturnem, czy Merkurem (bo Markolf, Marhołt z nazwiska bożka wyszedł), niegdyś poważne, religijne, przedzierzgnęły się w końcu w parodyę, znaną już w wieku XII, powstałą na Zachodzie chyba, gdyż wschodnia tradycja nic o niej nie wie. Do rozmów, w których „gruby a sprośny, a wszakoż bardzo wymowny“ Marchołt mądrość Salomonową parodiuje, doczepiono wcześniej opowiadania, anegdoty, żarty, zaczerpnięte z najrozmaitszych źródeł, nastrojone na ten sam ton, i tak urosła walka na słowa w całkowitą historję, którą po krótko opowiemy, tem bardziej, iż z polskich Marchołtów tylko strzępy pozostały z dawnych wydań.

Przed Salomonem zjawia się najszpetniejsze chłopisko, znane królowi z chytryści; wyzywa go więc król na szermierkę słowną. Salomon, utrzymany w tonie biblijnym; w usta jego włożono przypowieści z ksiąg zakonnych; Marchołt zaś każdej przeciwstawia jakąś maksymę chłopską. Odwiedza potem zwyciężony Salomon Marchołta, i na pytania, co robi ojciec i t. d., odbiera odpowiedzi, które i Sowizdrzała obdarzają; rozkazuje wreszcie Marchołtowi, aby matka jego posłała z nim garniec mleka od najlepszej krowy, z przykryciem również od niej; matka upiekła też placek z mleka na to przykrycie, lecz głodny Marchołt zjadł placek, a garniec przykrył krowińcem. Teraz wzywa go Salomon do wspólnego czuwania przez noc, grożąc śmiercią, jeśli zaśnie. Marchołt zawsze zasypia, lecz pytany od Salomona, czy śpi, wymawia się stale głęboką zadumą nad byle jakąś maksymą, na przykład, że więcej waży przyrodzenie, nad wychowanie; kobiecie tajemnicy żadnej zwierzać nie należy; że sroka tyle ma pierza białego, ile czarnego i t. p.; na drugi dzień musi on tego wszystkiego pod karą śmierci dowieść (motyw ten powtarza się nieraz). Dowodzi on też tego ze szkoda, albo wstydem Salomona: kot, przyuczony trzymać świecę, rzuca ją dla myszki, którą Marchołt przyniósł; siostra, spotwarzona przez niego, oskarża go o (udany) zamiar zabicia

króla, z którym się przed nią zdradził i t. d. Od sądu biblijnego nad niewiastami i dzieckiem biorą obaj asumpt, Salomon do wychwalania kobiety, Marchołt do jej poniżania, i obowiązuje się jeszcze tego dnia na Salomonie wymusić zeznanie, że niema gorszego stworzenia nad kobietę; udaje mu się to znakomicie, gdy podbechtał niewiasty jerozolimskie na króla, mającego niby wielożeństwo zaprowadzić powszechnie. Oburzone tam kumoszki narobiły takiego hałasu, że obmierzył Salomonowi odrazu rodzaj niewieści. Dowiedziawszy się, kto mu figla spletał, zabronił Marchołtowi spojrzeć mu kiedykolwiek w oczy; więc gdzieindziej dał mu Marchołt zaglądać. Za to każe go król wieszać, lecz uprosił Marchołt łaskę, by sam drzewo, godne ku temu, obrał, i w całym kraju, na Libanie i Antylibanie napróżno go szukał, poczem mu król bez kary odejść pozwolił.

Kontrast między uroczystym tonem biblijnym i powagą Salomonową, a sowizdrzalstwem Marchołtowem, przeprowadzony znakomicie, i wydaje się nam, że „Marchołt”, to najdawniejszy protest myśli świeckiej przeciw ugniatającemu ją ascetyzmowi; że krewnych „Marchołta” nie w podaniach wschodnich, lecz w satyrach XI i XII wieku (przeciw Rzymowi) szukać należy, na przykład w owej ewangelii nie Marka świętego, lecz marki (srebrnej); albo w parodyach, jak w ewangelii o Nemo (Nikt) i t. p. Znajdziemy bowiem w Marchołcie ustępy, które wręcz blasfemią trąca, na przykład Salomonowi, obiecującemu skarby i znaczenie, odpowiada Marchołt: Obiecuje zdrowie lekarz, Gdyż nie (ma) mocy, a w tem jest łgarz (ale w oryginale nie o lekarzu, tylko o księdzu mowa), albo gdy Salomon wzywa: polepszymy się z tego, cochmy niewiedomie zgrzeszyli, — odcina mu Marchołt: kiedy ty nosa ucierasz, co innego wtenczas działasz? (tak po łacinie bakalarz rzecz poprawił na grubszy żart) i in.

Taki to Marchołt cieszył się nadzwyczajnym powodzeniem i w oryginale łańcisko - francuskim, i w licznych tłumaczeniach; polskie do dawniejszych i najlepszych należy. Nie rozumiał wprawdzie bakalarz krakowski wszystkich terminów i zwrotów trudnej łaciny marchołtowej, opuszczał jedno, przekręcał drugie, ale w całości wywiązał się ze zlecenia znakomicie. Pyszna jest genealogia Marchołta i jego żony, Powaliszki, odmienna naturalnie zupełnie od łańciskiej. Jak Salomon Dawida, Izajasza i t. d. wylicza, sławi się i Marchołt „z dwunaście rodzajów chłopskich: Chłoptas porodził Gruczola, Gruczol Rudka, Rudek Rzygulca, Rzygulec Kudmieja, Kudmiej Mózgowca, Mózgowiec Łypia, Łyp Potyrałę, Potyrała Kuchtę, Kuchta Trzęsiogona, Trzęsiogon Opiolkę, Opiółka Warchoła, a War-

choł Marcholta“; rodowodu Powaliszki przytaczać nie możemy, gdyż nadto pornografią trąci.

Oryginał łaciński w sentencyach obu „rozmówców“ rymowaną prozą nie gardził (ulubiona to sztuczka XI i XII wieku; nasz „Gall“ całemi partyami tak pisany); pan bakałarz w przekładzie krótkiemi i długiemi wierszami chętnie się posługuje, chociaż dawne druki tego nie uwzględniają, na przykład powiada Salomon: w duszę złą nie wnie-dzie duch mądrości, a Marcholt na to:

Kiedy ty klin bijesz w drewno,
Zawsze się strzeż tego pewno,
Być nie wypadł z drzewa tego,
A nie wybił oka twego;

albo prawi Salomon: cudna rzecz jest biały czepiec na głowie niewieściej: Marcholt zaś: pisano jest:

Nie są takie rękawy, jako kozuch cały,
Często pod białym czepcem bywa mól niemały;

albo Salomon: z człowiekiem zwadliwym nigdy nie miej towarzys-twa; a Marcholt:

Sprawnie tego jedzą świnie,
Kto się między otręby wwinie,
i t. d.

Wielu sentencyj nie można dla ich rubaszności przytaczać, oryginal pozostaje nieco w tyle za tłómaczeniem, przeznaczoným i poświęconem dostojnej pani! Rym zmusza bakałarza i do niepotrzebnych dodatków, omawiań i t. p., na przykład w sentencyi o osle.

Oryginał bawił parodią rzeczy poważnych i wyprowadzaniem w pole najmędrszego z ludzi, ale czerpano z niego i inne rzeczy, na

przykład najdawniejszy wiersz polski, treści świeckiej, Złoty, pochwałę kobiet poparł argumentami, zapożyczonemi od naszego Salomona. Wzmianki i aluzyje do „Marcholta“, drzewa marcholtowego, są częste, ale z figurą samą spotkałem się tylko raz w kreacyi literackiej.

Wyszło mianowicie w roku 1606 piśmko satyryczne, na ton Juwenala nastrojone, pod tytułem: Poselstwo z Dzikich Pól od Sowizrrała do małowocnotliwej drużyny, kart 86). Autor niewymieniony; przemowę „do zabicie niecnotliwego pokolenia małowocnotnych“ kosterów, i małowiernych heretyków, i niewiernych Żydów, i przeklętych zdrajców“, podpisał „życzliwy wyższego podniesienia“ (to jest na szubienicę) Prawdzie Niedrwił, nazwisko więc, jak Jan Oleski, Dzwonowski i t. p., zmyślone. Mojem zdaniem, autorem jest Jan Jurkowski, bakałarz krakowski, z Pilzna rodem, który przed dwoma laty wydał był (w roku 1604) „Tragedyę o polskim Scylurusie i trzech synach koronnych polskich“ i t. d.: dowód, ze stylu i treści, dałby się z łatwością przeprowadzić. Jurkowski posiadał rzeczywisty talent satyryczny, większy, niż na przykład u Klonowicza, lubował się w grze słów, w dosadnych nowotworach i jeszcze dosadniejszych wyliczaniach, miał dobre pomysły własne, a życie otaczające tak dokładnie obserwował, że zwrócił nawet uwagę na język złodziejski („Ktosiów“), i uraczył nas przeróbką jego literacką, jedną z najwcześniejszych w całej Europie. W tragedyi owej szkolnej wikłał się jeszcze w mitologii, chociaż i Herkules, i Parys jego trawestacyi są podobni; w Poselstwie porzucił ją — tylko Pluto, Spartanowie i Owidjusz gdzieniegdzie mającą — i użył natomiast typów odpowiedniejszych, średniowiecznych, Sowizrrała i Marcholta. Fikcyja następująca:

Polacy, po szkodzie mądrzy, za przykładem innych narodów, zabierają się do poprawy statutów, aby i sejmem „pochopniejszym, i ostrszym trybunałem“ karać niecnoty i zbrodnie. Strach padł więc na łotrów wszelkiego autoramentu, tak licznych; przeto wskrzesił Pluto Sowizrrała i Marcholta, aby ich, zaniepokojonych, ciemieżonych grożącą „korrektą praw“, wyprowadzić z Polski na Dzikie Pola,

¹⁾ Egzemplarz kórnicki przesłał nam dr Celichowski; inny widzieliśmy w „Bibliotece Akademickiej“ w Petersburgu. Na tytule wyrysowany Marcholt, po bokach czterej jego rotmistrze.

gdzie osobna ojezyczna z największą swobodą ich wabi, aby się zła ojezyczna z dobrą rozstrzygnęła, gdyż dla tych złych karze Bóg dobrych, „dla tych nasza ojezyczna cierpi suchoty i już liszeje u świata z sromoty“. Podjęli się Sowizdrzał i Marchułt chwalebne go zadania; spierają się, który z nich będzie dowodził; Marchułt ustępuje, bo przewyższa go Sowizdrzał liczbą rodu i zasługami, i prosi tylko o rady i wskazówki, kogo i jak z Polski wyprowadzić; nie skąpi mu ich Sowizdrzał, i kończy proroczymi wierszami:

Żegnam cię lewą piętą już na dobre Lachy;
 Być złe łotry puścili, rzućcie na nie strachy,
 By im Ktoś nie rzekł: G e t e s t a d d z i e t e n i e d b a l i,
 By nie kazał w e n d a l e j z s w e j z i e m i W a n d a l i;

Wandali i Gete, przodkowie Słowian - Polaków, mieli być nazwani od idete (idźcie) i wen (won) dalej, o czym się Jurkowski z Kroniki J. Bielskiego dowiedział.

W utworze Jurkowskiego typy Marchułta i Sowizdrzała bardzo uogólnione, cechy indywidualne niemal tracą, stali się wyznacznikami wszelkiego łotrowstwa, szczególnie Sowizdrzał; Marchułt pierwotnej swej roli został wierniejszym nieco, bo w Polsce tego cudu dokazał, że mądrość w błazeństwo przewierżgniono, a błaznów mądrymi udają,

Więc zaś owej z nauką mądrej szlachcie w radzie,
 Gdy rząd składany chce podać, każą siedzieć w zadzie,
 Wnet mu: wara ty duda, mauczysz po szkolsku,
 Łacinaś tylko mądry, a błazen po polsku;

polska zaś mądrość:

To mąż, kto się mści, kto pełni, gdy pija,
 Witez (bohater) w d o m u serdeczny już piętnastu zabił...
 Toć mędrszy, co ma więcej pacholków i złota:
 Tak z mej rady wicrzgnęła wzgórze piętą cnota.

Nie przesada to wcale, tylko najsmutniejsza prawda: każdy spokojny i sprawiedliwy człowiek wołał wtedy o korektę prawa, by ukrócić swawolę złych, i sejmy o to nagliły, a zostało w końcu przy starym nieporządku. Wiersze Jurkowskiego są formalnie komentarzem do współczesnych broszur prawnych, na przykład Zawieży z roku 1613 i wielu innych; „wszyscy wołają, że na zuchwalce poprawy potrzeba... zbolął każdy enotliwy człowiek, patrząc na niekarność okrutników“, — pisze Zawisza, a Sowizdrzał przyznaje o łotrach swoich:

Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
 Trzeba, chce-li mieć Polska całą zewsząd głowę...
 Ciemność jest okrutna w Polsce, tej się dotknąć może,
 Ćmią się skarby i mieszki...
 Wszyscy ciemni, choć się krzczą Oświeceni Jaśnie..
 Żab i odmigardzielów pełno i obźerców,
 Zbytlich krtaniów, piękosioów, hardodurnych zdiereców.
 Co Lach, to Pan, Ruś mówi; każdy chce panować,
 Nie masz tego, by w domu nie miał z kim wojować.

Satyryk zwraca się przeciw czworakiej drużynie, czworakiej, bo oddzielił ją „barwą“ (liwreją), od kart i maści wziętą; więc żołędziowata łotrom należy, a pod łotrami rozumie Sowizdrzał gachów, kosterów, pijaków (wymikufle, drożdżale, tych w Polsce na poły; zwać ich już P o ł o k a m i, nie P o l a k a m i ⁷⁾ należy), wreszcie błaznów; on ich wprawdzie nie siał nigdzie, sami powschodzili:

Lubomiennie potwory, drogokupne dziwy,
 Głuchowie, Migdonowie i zastęp szlachciwy
 Błaznów zacie bogatych, przemożnych kuglarzów,
 Cześć nieoszacowana ukraśnionych Igarzów,

⁷⁾ Nie zła gra słów, p o ł o k, tyle co pijak (łokać, lykać); protestanci szydzili z katolików, że w pierwszy dzień zapust czczą św. Ż a r ł o k a, w drugi dzień św. P o ł o k a, a w trzeci św. S t ę k a w ę.

Karłów trzody przepyszne i drogich psów roje,
 Głaszczouchów radosnych pełniuchne pokoje,
 Krzywonogich pigmeów, długowieżych drabów,
 Śmiechorodnych szalbierzów, piszczków, darmozjadów:
 Cić miejsca osiągnęli mędrzejszych Muz wszędy,
 Roskoszniejszeć, skupniejsze, u Gofrojów ³⁾ błędy.

Zwracamy uwagę na przydługie wyliczenia, charakterystyczne dla każdej satyry, szczególnie w stylu „grotesque“, jaką jest satyra Rabelais'go, lub Fischarta; Jurkowski lubuje się w niem, na przykład nieco niżej o tych samych „frantach“ powie znowu:

Oni huczają, szaleją, już jeżdżą na głowie,
 Strojni, zbytni, dzięcieli i swowolniczkowie
 i t. d.

Za chorągiew powiesi się im kufel, karty, podwika.
 Drugi huf, zielony, to Żydzi, niech się wynoszą na Podole,

Tam sędziowie, hultaje, rybałci i zacy,
 I hajduk kozubales brać od nich zabaczy.

Broni na Tatarów mają ^dpodostatkiem, pozastawiała ją przecież u nich szlachta, lecz niech nie idą sami, niech zabiorą z sobą:

lichwiarze, szalbierze,
 Oszusty, łapigrosze i kupce fałszerze,
 Krzesne dudków b....., cudzoziemskie zbiegi,

³⁾ Gofroj nie z Tassa i Oblężonej Jerozolimy bohater, lecz z romansu o Meluzynie, rycerz niepohamowany; Migdon, jak Korydon i t. p., imię klasyczne, jako przezwisko użyte.

Wędzikalety, śwędry, żmigrosze, mitregi
i t. d.

Trzeci huf, czerwony, Lutrowie, „jaratycy“, z chorągwią z owych spodni, o których tyle jest wzmianek po pamfletach ówczesnych; ich zwabimy na Dzikie Pola wolnością „wierzyć by i w rzyć“. Jurkowski był ultrakatolikiem.

Czwarty huf, żółty, z okrasą swą, Judaszem obwieszonym, to zdrajce ojczyzny, przekupnie jej niesyte, którzy swe zjadłszy, przestrojwszy, wodzą w Polskę z Tatury, więc nieprzyjaciele. Stopniując efekt tego pomysłu, naznacza w końcu Jurkowski dowódców głównych i podwładnych od kart (hetmani, tuzy i t. d.), i zaleca rozmaite gry w miłę „karciecia“, Położuchnę, Piekło, Rus, Turm i t. d., jako szkołę taktyki i strategiki, aby ulubione te hufce bez szkody na Podole przeprowadzić; charakter groteskowy tej satyry (u nas tak rzadki nadzwyczaj) widocznieje coraz bardziej; groteskiem trącą i owe próżne starania duchownych, którzy, aby z błaznów było co dobrego,

Ślą je w koszach do młyna dobrzedziejącego,
Tam ich tłuką i w stępie mieląc pod kamieniem,
Pytlują je, sieją je, a przecie z grzebieniem
Błazeńskim zaś wychodzą. Drugim wykurzają
Ze lba mózgi szalone w piecach, sład latają
Muchy, dym, wiatr i fsiu bziu, przecie z prózną pracą
i t. d.

Już z tych drobnych próbek może czytelnik osądzić, czy pochlebne mniemanie nasze o satyrze Jurkowskiego przesadne, — porównywając ze współczesnymi piśmidłami, dopiero go należy cie oceniaćmy i żałować musimy, że wybitnego talentu satyrycznego dalej nie kształcił; muza jego nader ruchliwa między rokiem 1604 a 1607, nagle na zawsze umilkła.

Lecz w ubieganiu się za śladami literackiego żywota Sowizdrzłów i Marchołów spuściliśmy zupełnie z oczu powieść ludową, do której wracamy, aby podobnych dywagacyj nadal się surowo wystrzegać.

Na brzeg polski, odległy i ubogi, wyrzuciły fale średniowiecznego życia tych dwóch błaznów niby, niby szalbierzy, i powiodło się im dobrze na tej ziemi, rozgospodarowali się w niej na piękne. Lecz fale te niosły na sobie nie tylko takich rubasznych psotników, na uciemiężenie wszelkich filistrów i pedantów — z niemi przybywały i żywioły rycerskie, awanturnicze, fantastyczne — ale o nich pomówimy osobno.

A. BRÜCKNER.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

R

6879

100

100

F
6879